



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

SPOJRZENIE CHRYSYUSA

(Legenda).

Nad Jeruzalem nieszczęsną zachodzi słońce czerwone,
Za czarne chmury zapada i luno ciska ogniste;
Zda się, że miasto tak płonie, że to pożaru pożoga
Rumieni wieże i szczyty skupionych murów szerniałych.
Syon drży w blaskach tych krwawych; świątynia niemi oblana,
Stoi jak wieszczba straszliwa zniszczenia, pustki, ruiny!...
Ze szczytu Góry Oliwnej Chrystus na miasto spogląda,
I z oczu łzy Mu się sączą, na boskie płyną oblicze:
Płacze nieszczęścia tej ziemi, narodu tego niedoli,
Jak Rzym go srogi uciśnie i syny jego rozproszy,
Świętości jego mu wydrze, warownie stare rozburzy,
Aby tam wyły szakale, gdzie kiedyś lud żył szczęśliwy
Wśród daktylowych swych sadów, ponad rzek swoich wodami.
Płacze, wyciąga ramiona ku miastu co ledz ma w gruzy,
Gdy nagle do nóg Mu pada jakiś młodzieniec wzruszony
I woła głosem rozpacz: — Jeżeli ty jesteś Messyasz,
Zwołuj aniołów zastępy, lub zbudź z tych głazów rycerzy,
Niech walczą i zwyciężają, wytracą rzymskie szeregi,
A wtedy, Paniel my Tobie zanucim hymny „Hosanny“,
Wtedy palmowe gałązki będziem pod nogi słać Twoje,
W przybytek święty zawiedziem, cześć Ci i chwałę oddamy!...

Tak woła głosem namiętym, czarne mu błyszczą źrenice,
Szat Chrystusowych się ima i kraj ich do ust przyciska;
Ale Pan smutnie się patrzy w piękne młodzieńca oblicze,
A on się dziko porywa; bluźniąc w szalonym zapędzie,
Przysięga wieczną nienawiść, chociażby Bogu samemu,
Jeżeli zbawienia moc mając, nie chce jej wydać i zbawiać:
Ludzi nieszczęsnych ratować, słabych z niedoli podźwignąć.
Gnany rozpaczą namiętą, biegł Getsemani parowem,
Gdzie ma w pobliżu Golgoty dom z łomów głazu zbudowan,
Do boku skały przyparty, stary, ubogi, posepny,
Gdzie on niejedną noc długą w bolesnych myślach przedumał,

Zali Bóg nie ma już łaski nad ludem swoim znedźniałym,
Nie chce mu zsyłać proroków, wodzów potężnych nie daje?
Teraz mu jeszcze rozpaczniej serce się w piersiach rozrywa,
Bo on, nieszczęsny, uwierzył, że przyszła wielka godzina:
Przepowiedziany Zbawiciel, lew Pański z Judy plemienia!
Więc się rozżalał tem srożej, i serce jego zbolało
Zatruwa dzika zażartość, i mściwa jakaś nienawiść
Do wszystkich ludzi na świecie, że, jak on, pięci nie wnoszą
I w niebogłose nie krzyczą—gdzie jest Messyasz, Syn Boży?
On tak się trawił w boleści, bledszy i chudszy codziennie.
Zpod powiek zaczerwienionych od łez, niechających już płynąć,
Oczy mu tylko świeciły ogniem wewnętrznej gorączki,
Aż raz przed Paschy Świętami słyszy szum jakiś i wrzawę,
Od Jeruzalem ciągnącą, jakgdyby strumień Cedronu
W morze się nagle przemienił i piętząc w groźne bałwany,
Miał zalać wszystko dokoła wraz z jego gniazdem z kamieni.
Morze to było, niestety, lecz żywe morze z fal ludzkich:
Z ulic się miasta wylało i ciągnęło tłumem wzburzonym,
Ze śladem rzymskich żołnierzy, którzy z setnikiem naczele,
Wiedli Jezusa Chrystusa na miejsce śmierci—Golgotę.

Skrwawiony, blade, mdlejący dźwigał Pan krzyż swój na sobie,
Już z ciernia miał On koronę, już z szat był na wpół odarty,
Słońca ogniste promienie potem go krwawym oblały,
I nawet w piersi żołdaków coś się litości zbudziło,
Bo przystanęli na chwilę i nim się wyżej pięć zaczęła,
Setnik pozwala ofierze odetchnąć moment i przysiąść.
Na przyzbie domu pod skałą, wysokiej, kamiennej przyzbie,
Pozwala spocząć—zbolełym, skrwawionym członkom się oprzeć,
Lecz oto drzwi się rozwarły, ręka bladego szaleńca
Z dziką się groźbą podnosi.—Precz! krzyczą usta zsiniałe,
I Chrystus dźwiga się z krzyżem, tylko wrok oczu żalonych
Smutnie się spoznał na tego, co tak okrutnym być umiał—
Smutnie, łagodnie, z litością i z przebaczeniem najświętszem.
A gdy ogniste źrenice z tem się spojrzeniem spotkały,
Coś drgnęło w piersi ściśniętej—ból, żalność nagle i trwoga,
A z tego razem powstało wielkie, gniojące uczucie,
Że Bóg nie zbawia nędz ludzkich przez Cherubinów swych siły,
Lecz tym, co w piersi go przyjmą, moc daje, która cud sprawia:
Staje się wiara, nadzieja, wielką się staje miłością,
I przeaniela człowieka, ognistym mieczem go zbroi,
W niezwykłość odziewa, legiony czyni z jednego!...

To objawienie zrodzone z świętego wzroku
[Chrystusa

Przejęło serce młodzieńca, ale niestety! wraz z wiarą,
Rozpacz mu w piersi wstąpiła. Gdy Chrystus konał
[na krzyżu,

On z domu swego uciekał, dziką boleścią pędzony,
A karą jego jest życie, długie jak trwanie ludzkości.
Aż do dnia Sądu Bożego, cierpieć on musi na ziemi.
I to jest tułacz ów wieczny, Ahaswerusem się zwący.
Którego Chrystus do siebie dopiero wtedy przywoła.
Gdy ze stolicy ojcowskiej, On, wielka miłość i litość,
Ręce wyciągnie przebite i ludzkość całą obejmie.

CIEŻKIE CZASY

Kwestyonaryusz rodzinny.

Niewątpliwie jakiś człowiek bardzo nieszczęśliwy i życiem zmęczony musiał pierwszy wymyślić wyrażenie: ciężkie czasy! Nie jest to wcale to samo, co złe czasy, i gdy słyszymy powtarzaną wkoło nas skargę na czasy ciężkie, to mimowoli przedstawiamy sobie, że żyją wkoło nas tłumy ludzi, których sam fakt istnienia przygniata, czyli ku ziemi, i symbolem ich nie mogą już być nawet karyatydy, których muskularne barki wyprężają się, aby dźwignąć brzemie jakiejś rzeczy wielkiej. Nie jest to bynajmniej jedno przedsięwzięcie, sprawa, zamiar, na którego dokonanie wysilamy się mężnie: i tu wysiłek nasz jest zwrócony na samo dźwiganie życia, które ciąży nam i przygniata, więc trwać w niem znoś je, jest już pracą najcięższą z ciężkich, bo z natury swojej musi być ona nieustanną, jak oddychanie piersi, jak krążenie krwi w żyłach. Ale wśród tych narzekania na złe czasy dochodzi się koniecznie do przekonania, że życie nasze kryje w sobie coś nieprawidłowego, coś wadliwie ułożonego, co mu się normalnie rozwijać nie daje i ciężąc na nas, ducha w nas łamie i przygniata. Ludzie nigdy być nie mogą losu swego całkowitymi budowniczymi; jest krzyżująca się sieć oddziaływań i przyczyn, daleko poza nami leżących są dziedzictwa i spadki przeszłości, są od nas niezależne niemoce chwili bieżącej, które nas w takim a nie innym położeniu stawiają; ale nie wszystko przecież tak nam jest przez okoliczności nakazane i choć w zakresie pewnym rząd nad życiem naszym trzymamy w rękach własnych, więc też trzeba nam zastanowić się: jak to owe ciężkie czasy na nas spadły, i z jakiej urodziły się przyczyny? Mamy przesilenie ekonomiczne, mamy nadprodukcję w tych gałęziach przemysłu, na jakie się zdobył nam udało, jest przeciw naszemu gospodarstwu rolnemu występująca konkurencja Ameryki i Azji, jest klęsk szereg cały: czy przecież nie byłoby nam łatwiej to znieść, i silniejszy odpór nieszczęściu postawić, gdyby już poprzednio nie było nagromadzenia żywności, wytwarzających nam ciężkie czasy!

Z czego się one w osobistym do nas stosunku składają, i czy nie są to wymagania większe, niż środki do ich zadowolenia, czy nadewszystko nie są to potrzeby sztucznie sobie wyrobione, z rzeczywistości naszym szczęściem nie wspólnego niemające, które jednak w układzie życia naszego takie miejsce zajmują, że przeważają o wiele to, co człowiek choć w jakiejś części mieć musi, aby istnienie jego nie było smutnym, ogołoconem z wrażeń miłych i uczuć przyjemnych? Obowiązkiem człowieka jest pracować, i pracować też powinien, pracować musi, aby sobie zebrał zasoby na utrzymanie, oile można wygodne, oile można brakiem niepodlegającego życia. Potrzeby jego są nie tylko fizycznej, ale i moralnej natury; nie żyje on przytem sam i tworzy nietylko rodzinne ale i towarzyskie związki; więc życie jego musi dawać mu wielorakie zadowolenia uczuć jego i upodobań, póty godziwych, póki innym krzywdy nie przynoszą, z jego własnymi obowiązkami się nie kłócą i nie poniżają go przez gusta i używanie lichy, materialnej jedynie natury. Wolno nam jest sobie i drogim nam osobom życie uprzyje-

niać, aż do tych granic, a zarazem do granic rozsądku, który o jutrze pamiętać każe i wyższych, świętszych celów dla przyjemności zapominać nie pozwala—który cnotę zabiegliwego o przyszłość starania, jako wysoką mądrość cenić uczy, i zarazem na szali swojej przeważa, czy przyjemność, którą sobie garnąc usiłujemy, nie stanie się drugostronnie przykrością i czarą goryczy, wykazując się w ekonomii naszego życia, nie zyskiem jego, lecz stratą i deficytem bolesnym. Bywa tak często i wiemy o tem wszyscy, dlatego należy nam prowadzić ściśły obrachunek z rzeczą wszelką, którą sobie za składową część szczęścia, za składową część przyjemności uważamy, abymyśmy chcąc życia pełniej, lepiej użyć, nie wpadli w niewolę potrzeb, sztucznie wytworzonych, wymagań tak nieostrożnie wpuszczonych w zakres naszego bytu, że mogą w końcu stać nam się jarmem na szyi, kamieniem młyńskim, który nam się na piersiach niewytrzymałym ciężarem położy.

Rozwój cywilizacji materialnej i komfort nowożytny, który za nią idzie, niebezpieczeństwem takim każdemu z nas dziś grożą. Rozhartowujemy się i tracimy prostotę gustów, stajemy się coraz więcej zależnymi od losu i darów fortuny: dla używania życia, życia tego używanie właśnie tracimy, bo go się dobijamy w trudzie mozolnym, w zabiegach nieustannych. Pracować musimy więcej, niż kiedy, i to gorączkowo, wśród wyścigów konkurencji, z uwagą nigdy nieodwróconą od tego celu, który się zowie zyskiem, a gdy nas życie takie zaczyna męczyć, gdy wśród rosnących wymagań zaspokojenie potrzeb staje się dla większości coraz trudniejszym, gdy dla ojców rodzin wiązanie końca z końcem podnosi się przed myślą niespokojną, jak widmo blade, duch Banka, który do stołu biesiadnego z niemi siada,—zaczynamy krzyknąć na ciężkie czasy!

Ciężkie są w dosłownym tego słowa znaczeniu, co w dół gniotą i ku ziemi pochylają, bo dla zaspokojenia potrzeb, któreśmy koniecznie uczynili sobie potrzeb materialnego naszego istnienia, jedni oddają się duszą i ciałem pracy na największy, jak można, zysk grosza i o niczem więcej myśleć już nie są zdolni; inni, korzystając z dobrobytu w ten sposób im zapewnionego, psują się moralnie. Serca im twardnieją przez spokojne przyjmowanie takiej ofiary od tych, którzy na nich pracują, i przyzwyczajając się do używania nad stan możności swojej, przygotowują się do tego, aby potem w życiu raczej poświęcić wszystko, co jest świętem dla ludzkości szlachetnej, niż wyrzec się tego komfortu, tej elegancji: miękkiego bytu wśród wygód i przyjemności zbytkowych, który stał się już dla nich niezbędnym. Tak spaczony zmysł pojmowania szczęścia, jak fizyczne organizmu rozpieszczenie razem do tego prowadzą, i bardzo jest mało natur dość duchem silnych, aby się nagle do zdrowego sądu o rzeczach ocknąć i wysiłkiem szlachetnej woli z więzów złego nawyknięcia otrząsnąć. Mamy na historycznej przeszłości naszej czarne cienie takiego zniechęcenia, takiej niemocy duchowej, wśród której podnosiły się tylko ponad ogół, dołem zbity, pewne jednostki piękne i rozumne. Takie były, świadczące o prawdziwości słów naszych, czasy Saskie, czasy Stanisławskie, które przeszły z kolei—w czasy ciężkie, tak strasznie ciężkie, tak okrutnie przygniatające do ziemi, że byliśmy się w nich zarazem nędzni i nieszczęśliwi!

Z sił rozebranych, pozbawionych cnot mężnych, zdolności twardego postawienia się losowi zaskoczyły wypadki, na które się nie przygotowywano, których nie przewidywano, bo nie patrzono poza zakres wesołego używania chwili bieżącej, nie myślano o jutrze. Nie myślano, że życie musi być przez konieczność naturalnych swych warunków pracą tak produkcyjną, aby z jej zarobków gromadziło się niezbędnie potrzebne zapasy—zapasy sił i wytrwałości, pokarm dla ciał i duchów. Człowiek, jeżeli nie ma lekkomyślnym zostać, potrzebuje niezbędnie liczyć się z klęskami losowemi: z burzą, z zawiejną wichrową, z tem wszystkiem, co, leżąc w porządku rzeczy naturalnym może, a nawet musi, od czasu do czasu na nas uderzyć—być piorunem, który nam błyskawic-

ę w oczy zaświeci, gradem, który na pola nasze spadnie, o dach naszego domu bić będzie. Kto słabo zabudowany, kto w spichlerzu swoim żadnego zapasu ziarna nie posiada, albo zostaje skazanym na głód i nędzę, albo się innym zadłuży i wieśdź zaczyna żywot smutny, mozolnego, zawiesłego istnienia, w którym nie ma już wtedy miejsca nietylko na przyjemności wesołe, ale nie ma go nawet na wczasu trochę, na odetchnięcie piersi nieściśniętej—w tych czasach ciężkich!

Przesilenie ekonomiczne, które kraj przez rolę nasze gospodarstwo dotyka, jest taką klęską losową. Przybywa ona do nas zdaleka, zza morza, z zagranicy i ztąd jest tem straszniejsza, że nas zastaje zupełnie nieprzygotowanych, bez zasobów, któreby nam pomogły pracę dawnymi torami iść już niemogącą, inaczej urządzić i chwilę przejściową bez nędzy, bez upadku ostatniego przeżyć. Już i poprzednio były czasy ciężkie, bo stękało pod niemi, bo mnożyły się dokoła ruiny, nie przypadkowo się zdarzające, ale przypadające stale i jakgdyby w normalnym rzeczy porządku. Najdroższy, podstawowy skarb społeczności każdej, ziemia, zaczęła coraz więcej z rąk naszych wychodzić, to jest zaczęliśmy, jako ogół, tracić grunt pod nogami. Więc już i poprzednio trzeba było coś czynić, coś postanowić, aby po tej pochyłości w przepaść ostatnią się nie stoczyć, gdy oto spada na nas lawina, przygniatająca i musimy już koniecznie jakąś radę na to sobie dać, aby resztek zamożności nie wyczerpnąć i uratować, co się uratować daje, co uratować powinniśmy, nie ze względu już nawet na naszą osobistą pomysłowość, ale przez nakaz najświętszych obowiązków społecznych człowieka.

Głosy, żądające tego, wzywające ku temu podnoszą się zewsząd niespokojne i wzruszone; *Towarzystwo popierania przemysłu i handlu* stało się wyrazem tego niepokoju powszechności naszej, gdy rozesławszy okólnik do gospodarzy wiejskich, żądało od nich odpowiedzi na pytania, odnoszące do sposobów, przez które rolnictwo nasze wzmożło się na siły do przebycia ciężkiego przełomu, jaki przechodzi. Aby z niego powstać zdrowo, aby niemoc nie stała się śmiertelną klęską, potrzeba przecież współdziałania sił rozmaitych. Układ domu, życia w rodzinie, układ stosunków towarzyskich, musi tu być wzięty pod rozwagę, bo ograniczenie się w wydatkach, oszczędzanie kapitałów, eeenienie grosza, którego mamy mniej, a potrzebujemy go mieć więcej, niż kiedy, na przeprowadzenie zmian koniecznych wobec zmienionych warunków ekonomicznego naszego bytu—wszystko to wymaga rozumnego, niepowierzchnowego wejrzenia w głębi naszego życia rodzinnego. Każdy umysł poważny, każdy człowiek nielekkomyślny potrzebę tę odczuł i przyszedł do zadumy nad rozstrzygnięciem kwestyi, wiodących tu do celu, i oto w ostatnim numerze *Kroniki Rodzinnej* pojawił się list, który w imię dobra ogólnego wzywa myślący ogół, aby przez każdą z jednostek swoich objawił środki zaradcze, potrzebom chwili odpowiadające. W tym celu załączonym został do listu *Kwestyonaryusz rodzinny*, którego zadaniem jest, aby stał się niejako schematem dla myśli, zastanawiającej się nad środkami ratunku; powtarzamy go bez zmiany, ten kwestyonaryusz rozumny, zwracając się już od siebie do czytelników naszego pisma, aby zechcieli pomyśleć nad nim i każdy według spostrzeżeń swych i pojęć o obecnym stanie rodzin, naszych, zechciał odpowiedzieć na zawarte w nim pytania, które Redakcyja najstaranniej zbierać będzie i zgrupowane razem do użytku wiadomości publicznej poda.

Kwestyonaryusz rodzinny.

I. W jakich wydatkach domowych u rodzin inteligentnych, tak na wsi, jak w mieście, możliwe są do wprowadzania oszczędności?

II. Jakie ku temu muszą nastąpić reformy w obyczajach, nawyknięciach i wychowaniu młodych pokoleń?

III. W czem pani domu (matka rodziny) może

się głównie do zaprowadzenia oszczędności przy-
czynić?

IV. W czym pomagać jej mogą członkowie
rodziny, tak córki, jak synowie?

V. Jakie byłyby środki powściągnięcia zbyt-
ków, zwłaszcza w strojach kobiet, które nie w je-
dnej rodzinie rujnująco oddziaływają na położenie
materiałne, a co gorsza, (ja powiedziałabym: co
jest złem niemniejszym) stają się zgnubnym przy-
kładem dla mniej zamożnych.

Idąc za maxymą starej mądrości naszej: „Każdy
jako może do ogólnego dobra niechaj dopomoże“,
niech matki i ojcowie rodzin, a nawet młode córki
i synowie rzucą na papier myśli swoje, nie tylko
pod względem tego, co im się jako ideał lepszego,
szlachetniej ułożonego życia przedstawia, ale
i w kierunku środków, których potrzeba, aby re-
forma przeprowadzić się dała. Niech tylko przy-
tem nikt nie kryje trudności, z jakimi według
jego sądu spotkać się ona musi, niech bierze
w rachunek te wszystkie słabości i wady nasze,
słabości i wady ludzkie, o których wie, że staną
tu do sporu z zamiarem dobrym—niech je wy-
głosi po nazwisku, wykaże ich siłę, zarody, z któ-
rych powstają, grunt, na którym wschodzą: a z ta-
kiego zbioru sprzeczzeń różnych wyjść musi ja-
kiś promień światła, rozjaśniający choć do pewne-
go stopnia drogę, którą dążyć powinniśmy ku do-
bremu.

M. Ilnicka.

JUSTKA

MINIATURA

z życia powszedniego

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Bankier B. polecił mu napisanie memoriału
w sprawie zawikłanej, która wymagała długich
studiów przygotowawczych; kilka miesięcy, po-
trzeba było strawić na to poszukiwanie materia-
łów. Cena pracy była umówioną i wynosiła sto-
sunkowo niewiele, ale w miarę tego, jak się opła-
cają literackie i naukowe roboty, była jednak do-
syć znaczną. Zygmunt z nadzwyczajną pilnością
i starannością wygotował memoriał. Było tego
kilkadziesiąt arkuszy. Odniósłszy do przejrzenia
bankierowi, w kilka dni przyszedł do niego,
potrzebując pieniędzy.

Obejście się jego z tymi panami, którzy się ta-
lentem i nauką posługiwali, było wcale nie uni-
zione i nie pokorne. Stawał z nimi na stopie po-
ufałości i równości, co niektórych oburzało.

Memoriał leżał właśnie na biurku bankiera,
gdy Zygmunt wszedł do jego kancelaryi. Przy-
witanie było z jednej strony uprzejme, z drugiej
szorstkie.

— Potrzebuję pieniędzy — rzekł — przejrzałeś
pan memoriał?

— Tak jest i muszę przyznać, że przeszedł mo-
je oczekiwania — odparł słodko bankier — tylko,
kochany panie, niespełna trzydzieści arkuszy — i
tysiąc rubli!

Zygmunt się zarumienił i usta mu się ścisnęły,
ściągnęły.

— Cena była umówiona — rzekł zimno.

— Sądziłem, że będzie obszerniejszy — odparł
bankier — siedmset pięćdziesiąt....

Nie miał czasu dokończyć, kiedy Zygmunt, me-
moriał swój wzięwszy z biurka, nic nie mówiąc,
zwinął go, poszedł do kominka, na którym płonął
ogień wielki, i rzuciwszy go tak, aby wyrwać nie
było można, nie spojrzawszy na bankiera, nie po-
zegnawszy go, świszcząc, wyszedł z pokoju. Od
tej chwili znać go nie chciał. Bankier był wście-
kły.

Podobnych przygód więcej sobie opowiadano;
i nie dziw, że choć praca jego była wielce pożą-
daną każdemu, obawiano się człowieka. Zygmunt,
nie gardząc małemi zajęciami, a dla siebie nie
potrzebując wiele, miał z czego żyć, nie robiąc
długów, a często jeszcze dzieląc się z biedniejszymi.
Bardzo majątna rodzina, kolligaci należący
do świata arystokratycznego, wstydzi się tego,
na proletaryusza dobrowolnie zeszedł kuzyna,
który cynicznie się ze swem ubóstwem popisywał;
chciano go żenić, ofiarowywano wygody i rezy-
dencją, ale on, śmiejąc się, odrzucał.

— Za piernik się nie sprzedam, choćby był po-
złacany — odpowiadał.

Mieszkał naówczas p. Zygmunt na Dziekance,
w domu wcale niepokaznym, w dwu pokoikach
tak nędznych i zaniedbanych, że ci, co przypad-
kiem do niego zachodzili, nie mogli się wydziwić
obojętności, z jaką znosił to ubóstwo. Utrzymy-
wali niekiedy, iż dla oryginalności się tak opusz-
czał. Gdy mu się lepiej działo, to jest, gdy miał
więcej pieniędzy, jadał po najlepszych restaura-
cyach i był niezmiernie wybrednym; w dniach
niedostatku żywił się po kątach, wybierając tyl-
ko takie potrawy, któreby nie obudzały wstrętu
i nie szkodziły zdrowiu. Jadł prędko, jakby z mu-
su, niewiele, i uciekał potem cpo prędzej z brudnej
restauracyi. Jeśli nie miał roboty, siadywał po
bibliotekach albo przedsiębrał długie, nużące
przechadzki za miasto.

Zrana, jednego dnia, gdy miał właśnie o roz-
porządzeniu godzinami jego coś postanowić, za-
stukano do drzwi i posłaniec publiczny podał mu
karteczkę.

Zygmunt, wzięwszy ją obojętnie do rąk, poznał
charakter, bardzo się odznaczający, panny Jolan-
ty, która do niego teraz prawie się nigdy nie
zgłaszała.

Wspomnienie Justki, związane ze starą jej na-
uczycielką, Justki, którą wspominając, zawsze
wzdychał i smutniał — sprawiło, że list otworzył
prędko. Stało w nim tylko zagadkowych słów
kilka.

Panna Jolanta prosiła Zygmunta, aby do da-
wnej znajomej i przyjaciółki, o której zapomniał
zupełnie, przez litość nad jej osamotnieniem,
przyszedł wieczorem na herbatę.

Ani słówka więcej.

Ponieważ od kilku miesięcy p. Jolanta wcale
się nie dowiadywała do niego, odezwa ta napro-
wadziła go na domysł, iż może miała jakąś o Just-
ce wiadomość. Tem chętniej więc postanowił ją
odwiedzić. Nie wybrał się już za miasto, według
pierwszej swej myśli, i cały dzień spędził bez
celu przechadzając się po ulicach, a myśląc ciągle
prawie o tej przyjaciółce, której mu tak brakło,
iż całe życie jego czezem mu się i niezapełnio-
nem wydawało.

Dzień niesłychanie mu się zdał długim; nare-
szcie o zmierzchu pośpieszył do znajomego domu,
który mu tyle chwil szczęśliwych, spędzonych tu,
przypominał.

W przedpokoju, zwykle pustym, zdziwiło go
dwóch lokai, zajętych przygotowaniami jakimiś
i rozmawiających bardzo wesoło.

Wpuszczono go do saloniku, a naprzeciw nie-
mu wyszła, z dziwnie rozjaśnioną i wypogodzoną
twarzą, p. Jolanta.

— Przecież pan byłeś łaskaw sobie przypo-
mnąć, że żyję — rzekła z uśmiechem, i, mam na-
dzieję, że tego żałować nie będziesz.

To mówiąc, spoglądała ku drzwiom otwartym
drugiego pokoju. Zygmunt się jeszcze nie zebrał
na odpowiedź, gdy w nich ukazała się, jak widmo
niespodziane — Justka.

Krzyknął i rzucił się ku niej.

Powitanie było braterskie, serdeczne, lecz po
wymianie zaledwie pierwszych wyrazów Zy-
gmunt się nie mógł powstrzymać od gorzkich wy-
mówek.

— Trzeba mi przebaczyć — uśmiechając się, od-
parła Justyna — mam widać we krwi tę skłonność
do ucieczki.

— Cóż się z panią działo! Jak daleko i dokąd
ją ta fantazja zaprowadziła?

— Nie opuszczałam kraju, nie wyniosłam się
daleko — odpowiedziała Justyna — a myśl moję
przyprawdziłam do skutku. Założyłam maga-
zyn, byłam prostą modystką, ubierałam kapelu-
sze, szylałam suknie, służyłam pokornie mojej kli-
entelli, i działo mi się dobrze.

— A towarzystwo? — spytał Zygmunt.

— Zastępowały je książki i fortepian — mówiła
Justka. — Wprawdzie w początkach mój sposób
życia, odmienny od tego, jaki prowadzą tego po-
wołania panie, obudzał ciekawość, podziwienie i
domysły, ale się oswojono i gdy stanowczo drzwi
zamknęła, nie dobijano się do nich.

Musiła Justka opowiadać szczegółowo o tem
życiu swem, w którym zamiast wypadków, były
uczucia, myśli i walka z sobą samą. Przyznała
się do tego, że niejedną raz tęsknota ją ogarnia-
ła, tak, iż chciała rzucić wszystko, powrócić do
Warszawy, ale miała tyle mocy nad sobą, iż się
potrafiła przewyciężyć.

— A jakimże sposobem teraz?

Justka, nie dając mu dokończyć pytania — opo-
wiedziała spotkanie swe z Leonem. Gdyby nie
on, lata-by może upłynęły, a nie byłabym wróci-
ła, nie wiedząc, jaki obrót sprawa wzięła.

— Tak tedy my p. Leonowi zawdzięczamy, że-
śmy panią odzyskali! — zawołał Zygmunt wesoło.

Wiele mu za to przebaczyć należy, nawet to,
że śmiał się w pani zakochać — on!

— A pan co przez ten czas porabiałeś? — wtrą-
ciła, chcąc dalszą o sobie rozmowę przerwać, Ju-
styna, której sama powierzchowność Zygmunta
powiadała dostatecznie, iż wciąż tych lat nie
podniósł się, nie pokrzepił, ale upadł na duchu i
stracił na energii.

— Ja? — odparł Zygmunt — ja? — odpowiedź bar-
dzo trudna. Żyłem bez celu, bez myśli, z dnia na
dzień, i dlatego tylko może nie dopuściłem się sa-
mobójstwa, że koniec i tak sam przez się przyjsć
musi, a życie, choćby własne, jest ciekawą tkani-
ną bałamućw i nielogiczności.

— Nie rozumiem tego — odpowiedziała Justy-
na — ażeby człowiek, który tak zdrowo sądzi
o wszystkim, mógł (przepraszam) postępować
sobie tak niedołąźnie.

— Jedno, co mnie tłómaczyć może — wtrącił
Zygmunt, to młodość moja, której pani nie jest
znana; ona zatarła i zwichnęła całą przyszłość.

— Nie, pan chorujesz na brak woli — odpowie-
działa Justyna.

— Bo nie wiem, czego chcieć i czy jest coś, co-
by wartem było gorącego pożądanja.

Zygmunt zamilkł nagle.

— Mówmy nie o mnie. Cóż pani poczniesz te-
raz? — zawołał gwałtownie po chwili. Należy się
jej wypoczynek, swoboda. Na miejscu jej — na-
przód — bym wyjechał gdzieś, piękną naturą się
napawać — Włochy, Szwajcaryja...

Justyna potrząsała główką.

— Nie kuś mnie pan i nie bałamuć — rzekła —
naprzód potrzeba poznać własne położenie, obo-
wiązki, stosunki, a dopiero.

Zygmunt się począł śmiać.

— Ale to są rzeczy niesłychanie proste — ode-
zwał się — jesteś pani majątną, będziesz miała
tłumy przyjaciół, armie wielbicieli, pułki preten-
dentów, potrzebujesz się tylko opędać — nic
więcej.

Miałaś pani już w życiu sposobność przekonać
się, iż nic tak nie przyciąga ludzi, jak szczęście,
nic ich tak nie rozprasza, jak niedola. Ci co wczo-
raj padali na twarz, jutro nieszczęśliwego znać
nie będą w obawie, aby od nich jakiej nie potrze-
bował ofiary. Wiekuistej prawdy tej nie
zmieni. Jutro otoczą panią dworacy pomyślno-
ści: strzeż się tylko, aby jej kadzidłem nie upoili.

— Czyż możesz się pan tego dla mnie oba-
wiać? — zapytała Justka — Pan?

Zygmunt popatrzył na nią.

— Nie, nie obawiam się; boś pani przeszła
przez szkołę ciężkiego doświadczenia — rzekł —
ale człowiek jest człowiekiem: musi sam siebie
strzedz, aby natura jego, aby instynkta jej zwi-
erzęce nie zwichnęły ducha.

— Na to mieć będę pana na straży—zawołała Justka, patrząc na niego: będziesz moim cenzo-rem i mentorem.

Nizko się skłonił Zygmunt, ale na twarzy jego znać było pomieszanie.

— Wszystko to — odezwał się — najdziwaczniej się składa. Trzeba było, ażebyś pani powróciła w chwili, gdy ja postanowiłem kraj opuścić.

Justka pobiegła ku niemu, jakby strwożona.

— Pan! opuścić kraj? i cóż to ma znaczyć? — zawołała żywo.

— Jest to ostateczność, do której mnie zmusza nieubłagana konieczność mojego położenia.

Pokazuje się, że dla mnie tu niema miejsca ani zajęcia odpowiedniego.

Dla jednych jestem, jak utrzymują, zbyt rozumny, dla drugich — zbyt niezręczny i niezgrabny. Przeszłość moja i nazwisko krępują do pewnego stopnia, aby mnie nie nudzono nieustannie, że żydom szlacheckie imię sprzedaję i w ich służbę się zaprzęgam.

Za granicą jestem bez przeszłości, więc swobodnym.

— Ale to być nie może! — przerwała Justyna. — Za granicę! i dokądże? Jeżeli u nas pełno, tam przepełnienie większe jest jeszcze. W Ameryce silne ręce są pożądane — ale nie więcej.

Zygmunt spójrzył na swoje delikatne i chude palce, potrząsnął głową i nie odpowiedział nic.

— Nieszczęściem mojem — dodał po chwili — że ja, jak większość młodzieży naszej, jestem tak usposobiony do wszystkiego, iż ostatecznie do niczego nie jestem zdolny.

Justynie rozmowa ta zaczynała być przykrą.

— Proszę — z pana — rzekła — zamiast mnie, powracającą, rozweselić, ośmielić, rozzerwać, poczynamy od tego, że we dwoje lamentujemy. Nie masz pan nic wesołego?

— Ale, wesołe rzeczy świata tego — przerwał Zygmunt — są właśnie najsmutniejsze. Człowiek który się śmieje... zazdrości mu, ale go mam za waryata.

— Panie Zygunciel

W mgnieniu oka ten błagalny głos wywołał w nim niespodzianą zmianę.

— A! — rzekł — co za dziwne przeznaczenie, ażeby żonaty p. Leon na progu małżeńskiego żywota spotkał panią! Los czasem bywa pełen ironii złośliwej, nieprawdą?

Justyna nie odpowiedziała.

— Widujesz pan profesora Dobka? — zapytała — ten naiwny, poczciwy kwiatek... co się z nim dzieje?

— Nic pani nie wiesz? — zapytał Zygmunt.

— Wszakże dopiero przybywam.

— Dobek ożenił się, jak p. Leon, ale los mu nastęrczył związek niezmiernie praktyczny. Żona jego jest jedynaczką u bogatego aptekarza: obejmie więc oficynę Eskulapa, będzie miał sposobność widywania się z kwiatkami, choćby suchemi; a że apteka każda, dzięki głupocie ludzkiej i wierze w leki, jest źródłem dochodów niewyczerpanem — można być pewnym, iż chleba powszedniego mieć będzie podostatkiem.

— No — a żona?

Zygmunt spuścił oczy i długo patrzył na końce swych mocno już znoszonych butów.

— Żona? — rzekł — wychowana jak najstaranniej, panienska miła i umysłu wykształconego, ale, nieladna! Jedno ramię trochę niższe. Serce za to — anielskie.

Justyna się uśmiechnęła.

— Spodziewam się, że Dobek ją kocha, mimo tego ramienia — dodała.

— Ba! Dobek, począwszy od pokrzywy aż do swoich nieprzyjaciół, kocha wszystko i wszystkich. — rzekł Zygmunt — nie potrzebuje nawet wysiłku, aby dokazać tej sztuki: jego naturą jest: kochać i przygarniać.

— Spodziewam się, że pan mi go co najprędzej z żoną razem przyprowadzisz, albo — poprawiła się Justyna zaraz — mnie do nich: tak będzie właściwiej.

Kłaniał się Zygmunt.

— Zostajesz pani w Warszawie? — zapytał.

— Nic jeszcze nie wiem — rozśmiała się Justyna — nie mogłam przyjść do siebie, muszę się z nowym położeniem oswoić. Ilerazy kto drzwi otworzy, zdaje mi się jeszcze, że powinnam wybieść, uklonić się i spytać: — co rozkaże? Brak mi gałganków, któremi zabawiałam palce, nie trując myśli.

Wieczór dopóźna zeszedł na takiej łamanej rozmowie.

Justyna rozweselała się chwilami, opowiadała swe przygody z małego miasteczka, postaci, jakie tam spotykała; zdziwienie, które wywoływało zajęcie się literaturą i muzyką, posądzenia, na jakie była wystawiona.

Dawniej, za czasów dziadunia, salon jej był zwykle miejscem schadzki dla literatów i artystów, zjawiały się w nim naprzód wszelkie nowości, roztrząsano je, oceniano i Zygmunt był jednym z tych, którzy najgoręcej się zaprzękali ruchem umysłowym. Gdy Justyna spytała go teraz, stęskniona za słowem żywym: coby zajmowało ludzi, jaki był kierunek? — podniósł oczy, poruszył ramionami i odparł:

— Zupełnie zaniedbałem to pole; oile wiem, papieru zapisuje się i zadrukowuje obficie, każdy pracuje dla siebie i byle sam się podniósł lub miał co jeść, czy kogo obchodzi przyszłość i wyższe cele — wątpię.

— Trzeba się uciec do tych pięknych słów Brodzńskiego — odparła Justyna — które zapewniają, że każdy według sił swych pracować powinien, i zesłanego mu natchnienia — a całość sama się złoży.

— Niezawodnie — rzekł z uśmiechem Zygmunt — bo człowiek nawet, gdy nie wie co czyni, posłusznym jest prawu.

Panna Jolanta w czasie tych rozpraw ziewała trochę i w końcu uznała potrzebę wmieszania się do rozmowy, przynosząc do niej treść lżejszą. Nie rozweseliło to Zygmunta, który nadto długo poił się goryczą, aby tak nagle mógł otrząsnąć się z kilkoletniego nałogu szyderstwa i sceptycyzmu.

Po wyjściu jego Justyna długo stała zamyślona i smutna.

— Żał mi go bardzo — rzekła — był to jedyny człowiek, dla którego żywszą czułam sympatyą. Co za biedna, przedwczesna ruina!

To, co przepowiadał Zygmunt i co było nieuniknionem, ziszcilo się w bardzo prędkim czasie. Zaledwie się dowiedziano o zjawieniu się p. Justyny, dziedziczki niewątpliwej już fortuny po baronie, nie bardzo pytano: dlaczego zniknęła, co się z nią działo? — zbiegli się wszyscy znowu, wynosząc ją pod niebiosa.

Zgadzano się na to, że była istotą fenomenalną, wyjątkową, której pewne excentryczności charakteru potrzeba było przebaczyć.

Po jednej zjawiały się szanowne matrony, obarczone synami nieożenionymi dotąd, młodzieńcy wielkich nadziei, karnawałowi tancerze z dawniejszych lat — wszyscy przyjaciele owi, którzy w czasie niebytności i niepewności dwuznacznie się odzywali o p. Justynie.

W tem dworowaniu cynicznym fortunie jest coś tak upadającego człowieka, iż z niechęcią przychodzi mówić o niem. Lecz niema wyjątków prawie, a człowiek który szanuje niedolę i szuka jej, aby przyszedł w pomoc, odwracając się od zwycięzców, dla których nie ma szacunku — jest nad wszystko rzadkiem zjawiskiem.

Justyna nie mogła ani drzwi zamknąć przybywającym, ani okazać wzgardy. Przyjmowała grzecznie a zimno, czasem tylko niepokojąc ich opowiadaniem jakim, które wprawiało w zakłopotanie.

Dowiadowano się mocno, czy będzie przyjmowała, z utęsknieniem wspominając o miłych godzinach spędzonych w jej domu.

— Baron mój kochany potrzebował roztargnienia, ludzi, życia — odpowiadała — teraz ja sama jedna, smutna, nie mam najmniejszej ochoty do szukania w rozrywkach zajęcia. Zdaje mi się, że życie na wsi właściwszem dla mnie będzie.

Ubolewano nad tem, a wszyscy się polecali pa-mięci i zapisywali w registr sług najwierniejszych.

Niektóre z matek zamyślały zwolna rozpocząć obłęzenie.

Po pierwszych odwiedzinach pan Zygmunt nie przyszedł przez dwa dni; posłano go prosić na obiad. Zjawił się, zmieszany jakiś, nieswój i zakłopotany.

— Cóż się dzieje, że ja pana tak mało widuję? — zapytała Justyna.

Spójrzył na nią dziwnie.

— Lękam się, abys pani, widując mnie częściej, nie zraziła się ostatecznie. Jestem sam dla siebie tak wstretliwym.

— Panie Zygunciel! — zawołała Justyna.

Gość zamilkł i dokończył zarcikiem.

(Dokończenie nastąpi).

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO Z MAGDEBURGA.

X.

Jednym z najbardziej charakterystycznych rysów epoki naszej jest ukochanie sztuki i wysoka cena, jaką się do dzieł jej przywiązuje. Zarzucają wiekowi naszemu, że jest materialistycznym i zanadto ceni interesu materyjalne; a przecież nigdy nie ponoszone większych ofiar na zdobywanie arcydzieł mistrzów. Muzeum Luwru płaci za Murilla okrągły milion. Muzeum w Berlinie nabywa prosty portret Dürera za sumę 300,000 marek. „Meissoniery“ wielkości dłoni, podnoszą się do cen bajecznych. Włochy wzbraniają wywozu arcydzieł, a w chwili, kiedy to piszemy, już i Szwejcaria idzie za ich przykładem.

Ta miłość sztuki, jak zawsze, tak i teraz, bywa sprawą mody i sztucznych zapalów. Każdy chciałby mieć u siebie małą galerią, zacząwszy od Alexandra Dumasa i p. Weissa z *Figara*. Wreszcie liczba artystów, oraz tych, którzy oddają się kultowi piękna, wzrasta codziennie a *la escorte dei dilettanti* staje się nieprzeliczoną. Obok synów chłopskich, jak Defregger, co wychodzą na mistrzów, będących już słuszną dumą narodu, do którego należą, stają Ich Królewskie i Książęce Mości z pędzlem, z igłą, z rylcem, z kredką szkicową — a przytem nieraz też i z zadziwiającą odwagą. Z jednej strony sztuka schodzi na dół, do szkół przemysłowych i popularyzuje się, gdyż prosty robotnik nawet może się jej nauczyć i w każdym razie ma obowiązek się z nią zapoznać; z drugiej znowu wzbija się w górę, sięgając wysoko, aby uprzyjemnić chwile wolne głowom ukoronowanym, stając się często ulubionem ich zajęciem, któremu oddają się namiętnie.

Wiadomo wszystkim, jak silne przywiązanie do sztuki objawia rodzina królewska w Anglii. Książę Albert był wcale wybitnym rysownikiem i aqua-focistą. Królowa Wiktorya występuje również w poczcie dyletantów rytujących *al'acqua forte*. Córka jej, następczyni Tronu Niemieckiego, ma znowu namiętne zamiłowanie do malarstwa. Każda większa loterya dobroczynna otrzymuje zawsze jakąś robotę jej ręki. Pomiędzy amatorów ukoronowanych policzyć trzeba także i Króla Portugalskiego i Królową Karolinę Saską. Pewny jestem, że wyliczeniem powyższem nie objął tych wszystkich osób, które pod daną kategorią podpadają; bo któż dziś chociażby trochę tylko nie rysuje, nie maluje, nie rzeźbi? Przewidzieć można chwilę, kiedy hańbą będzie przyznanie się, iż się nie umie rysować, jak dzisiaj wstydzicie się potrzebować tego, gdy się nie umie pisać. W programatach wychowawczych rysunek, dawniej wielce zaniedbany — staje się dziś obowiązkowym dla wszystkich.

Byłby to rzeczywisty postęp, gdyby w miejsce gwałtownie dziś włączanej muzyki, bez względu na to, czy są zdolności i powołanie, czy nie zajęła

w wykształceniu młodych panienek — nauka rysunku z natury. Bez wątpienia, wszystkie nie stałyby się przez to artystkami — i nie o to też idzie — ale wykształciłyby sobie smak, rozumienie piękna. Rysunek jako środek wychowawczy jest o wiele lepszym od ćwiczeń gimnastycznych, które niekorzystnie działają na nerwy, przytępiając jednocześnie inteligencją.

Sądzę wreszcie, że zjednywać dzisiaj uznanie dla sztuki byłoby to samo, co wyłamywać drzwi otwarte. Sztuka tryumfuje już na całej linii.

Wraz z zamięłowaniem rzeczy artystycznych, przyszła i moda na *bric a brac* i na drobiazgi bawiące wzrok. Wiek XIX nie ma własnego swego stylu, chyba w jednych tylko budowlach z żelaza, które znowu żadnego stylu nie posiadają, ale zapala się dla wszelkich stylów, gromadzi wszelkie możliwe staroświecczyzny i płaci ogromne summy za... fałszywe perły. Rotszyldowie ze swymi galeriami, gabinetami i zbiorami, urządzanymi z monarchicznym przepychem, rzecz prosta, kroczą na czele tego zastępu lubowników starożytności. Mają swoich agentów, którzy wyszukują dla nich rzeczy jedynych w swoim rodzaju, jakich nigdzie nikt już nie posiada; mają biegłych, którzy te *unikaty* badają; mają artystów, którzy o nich sądzą — a jeśli sąd wypadnie przychylnie, ktoby tam już potem dbał o jakiś milion, potrzebny na nabycie arcydzieła!

Ponieważ cena rzeczy, które na pierwszy rzut oka przedstawiają się tak, jakgdyby żadnej wartości nie miały — jest bardzo zmienna i stanowi tak zwane *pretium affectionis* — jakżeby więc spekulacja nie miała opanować tej tak korzystnej gałęzi handlu? Chociażby zbierający lubownik był jaknajwybredniejszym, niema jednego zbioru któryby nie mieścił w sobie zręcznych naśladowań i przedmiotów wręcz fałszowanych. Sztuka oszukiwania ludzi fałszywymi starożytnościami otrzymała już szczególną swą nazwę — nazywa się pofrancuzku „*Truquage*“.

Mamy przed sobą książkę p. Pawła Eudela, która zajmuje się tym przedmiotem i dostąpiła już wielkiego zaszczytu, iż ją na język niemiecki przełożono. Warto tę książkę czytać, warto studyować; ale, niestety! nie podaje ona sposobów na omijanie zastawianych sidła: zadawania się wliczeniem przeróżnych rodzajów podstępów.

Niema jednego przedmiotu starożytnego, z wyjątkiem tylko gobelinów i tkanin, któryby nie mógł być doskonale naśladowanym i które-mu by nie można było nadać wszelkich cech starości. Zaczynając od zabytków przedhistorycznych, mianowicie w starożytnościach egipskich, fałszuje się stare szkło, stare monety, dawne wyroby złotnicze, obrazy, te ostatnie nawet nowocześnie — fałszuje się rysunki, emalie, *terra-cotte* fajanse, porcelanę, książki, oprawy, autografy, brzozy, wyroby z kości słoniowej i t. d.

Autor powyższej książki przytacza nieskończoną liczbę przykładów, w których oszustów za rękę złapano; ale jest wiele takich wypadków, w których oszustwo pozostanie już nierozpoznaniem. Sposobem najrzeczniejszym, najskuteczniej fałsz od światła prawdy broniącym, jest zdwajanie przedmiotów. Wyobraźmy sobie stary jakiś sprzęt. Najpierw rozbiera się go na części i przeznacza na dwie sztuki, potem dorabia się na nowo coś dla jednej, coś znowu innego dla drugiej i tym sposobem w obu przedmiotach będzie coś prawdziwego i coś fałszywego. Przy sprzedaży łatwo zwrócić szczególniejszą uwagę nabywcy na części prawdziwe, a dzięki im przesliżguje się i całość. Znana jest historia sławnego ołtarza, nabytego przez Rotschildów, a zapłaconego bardzo hojnie. Jedną połowę tej osobliwości złodziej skradł w jakimś zbiorze, który znowu nabył ją w stanie nadwierzonym; drugą zaś dorobiono zwykłą metodą fałszerstwa.

Jak niema nic łatwiejszego nad naśladowanie podpisu malarza na obrazie, tak też naśladowanie wszelkie możliwe znaki na materyałach, najtrudniej nawet poddających się takiej operacji. Jeżeli idzie o zniszczenie jakiego znaku, niedoścignego dla fabrykanta starożytności, znajdują się znowu w pogotowiu środki niezawodne, po użyciu których znak zniknąć musi.

To, co głównie charakteryzuje zniszczenie, jakie czas sam przynosi, a więc i starość przedmiotu: patyna, kolor, pył, brud — wszystko to umieją już dziś robić; naśladowują nawet dziury robione w starych meblach przez robaki. Prawdziwi sumienni (!) fabrykanci używają nawet robaków żywych, które uczciwiej przecież wykonać mogą robotę, niż najlepszy świder.

Oto kilka anegdot przytoczonych przez autora. Gavarni, sławny karykaturzysta francuzki, znajdował się raz w podróży; doniesiono mu, że odbywa się właśnie licytacja rysunków. Idzie, bierze do ręki, przerzuca i znajduje swoje własne rysunki — ale fałszywe. Pówoi to głośno. Tamci przeczą, zasłaniając się pochodzeniem rysunków ze zbiorów jakiegoś „przyjaciela“ Gavarniego. Przyjaciela?! On go nigdy nawet na oczy widział... Podnosi się wielkie oburzenie przeciwko niedowiarkowi. — Ależ ja sam jestem Gavarnim! — krzyczy wtedy artysta. Na to wszyscy w śmiech. Zaczynają się tłoczyć i potrącać, zmuszają Gavarniego do wyjścia. Licytacja toczy się dalej, a ceny idą coraz bardziej w górę.

— Ah! — zawołał wypchnięty artysta — gdyby przynajmniej rysunki były dobre!

Jeden ze zbieraczy francuzkich, Nucox, przebiega Szwajcaryą, szukając starej zbroi, — nie znajduje jej nigdzie. Naraz jakiś nieznajomy opowiada mu, że ma wspaniałą zbroję u bardzo biednych ludzi, w górach, zbroję pochodzącą prawdopodobnie z bitwy pod Granson (1476 r.) i że możnaby ją kupić za tanie pieniądze.

— Gdzie?

— Wysoko, na górze Vaux-Marcus.

Starożytnik bierze tedy trzech przewodników, wdiera się drogą niemożliwą do przebycia dla zwykłego turysty — w drodze przypomina sobie, że istotnie Szwajcarzy po zwycięstwie swoim nad Burgundczykami podzielili między siebie bogate łupy, nie znając nawet ich wartości.

Szedł już od ośmiu godzin drogą niezmiernie nużącą. Nakoniec dociera do wskazanej chaty, wchodzi — i widzi przed sobą w samej rzeczy wspaniałą zbroję, zawieszoną, jakgdyby szynką nad ogniskiem. Przypatruje się...

— Ah! — odzywa się stara jakaś kobiecina, ze wzrokiem utkwionym w lubownika starożytności. — Przyszedłeś pan zaprawdę: nie będziesz zadowolonym. Jeszcze się dobrze nie okopciła.

Na wystawie z r. 1867 wszystkich znawców zachwyciła cudna jakaś *terra-cotta*. Było to popiersie starej kobiety, trzymane w takim stylu w takiej prawdzie, że przypominało najlepszych mistrzów florenckich z pierwszych lat Odrodzenia. Posiadacz tej szacownej rzeźby, p. Nolivos, w kilka miesięcy później wyprzedawał swoje zbiory przez licytację, a p. Niewerkerque, dyrektor muzeów Luwru, nabył arcydzieło za 13,600 fr. Umieszczono je obok „Niewolnika“ Michała Anioła, „Nymfy“ Celliniego i zachwycającego popiersia Dezyderyusza z Settinnio.

Cóż się pokazało? Oto, że *terra-cotta* była dziełem biednego nieznanego rzeźbiarza, Bastianiego, który bawił się w naśladowanie dawnych stylów i na tej drodze doszedł do doskonałości. Dziś ów biust przeniesiony jest do Musée Sauvageot. Czyż utracił co ze swej piękności przez to, że się okazał utworem nowożytnym?

W tem miejscu występuje kwestya bardzo prosta: Jakie mają cele przed sobą zbieracze wszelkiego rodzaju?

Jeżeli cel naukowy nakazuje poszukiwać przedmiotów należących do pewnej epoki lub pewnego rodzaju sztuki, dla studyów odpowiednich, rzecz bardzo prosta, że potrzeba dbać o wiarygodność i nietylko o piękność utworów. Jeżeli zaś pobudką do gromadzenia zbiorów jest miłość sztuki, to czyliż rzecz doskonale naśladowana a ładna dla żądzy piękna niema takiej samej wartości, jak i sam oryginał?

Najczęściej uganiają się zbieracze, nie za tem, co piękne, ale co rzadkie i cenne. Niejeden nawet spekuluje i gromadzi tylko na to, aby sprzedać. Ale ponieważ wszystko ulega modzie, nieraz myli się taki spekulant; zdarza się bowiem że to, co wczoraj było poszukiwane, nazajutrz

już idzie w poniewierkę i nikt się nawet nie spyta, nie spojrzy...

P. Endel zbierał wszędzie wiadomości i wskazówki, nagromadził obfity materyał, ale daleko mu jeszcze do wyczerpania przedmiotu. Z tem wszystkiem i tak jeszcze znaleźć można w dziele cenne wskazówki, które przydadzą się przy wykrywaniu oszustwa.

Wypadałoby tu jeszcze dodać, że fałszowanie tych zabytków, które nas przedewszystkiem obchodzą, jak: srebra, rzeźby z kości słoniowej, wyroby złotnicze, zegarmistrzowskie, medale, dokonywało się zawsze na wielką skalę. Teraz jeszcze w miejscach kąpielowych spotykać można resztki, o które dobijają się łatwowierni amatorowie, podając nawet ogłoszenia do dzienników. Przedewszystkiem potrzeba pamiętać, że nasze zabytki rzadko kiedy sięgają aż ku Zachodowi; trzeba ich szukać na północy, a głównie w Szwecji, gdzie intelligentny p. H. Bukowski zgarnął już wszystko, co się dało zabrać.

Temi czasy los zrzucił, że, szukając książek do czytania, przetruciliśmy nieskończoną liczbę pamiętników artystów dramatycznych, szczególnie francuzkich. Zaczynając od Talmy, który się już zestarzał w pamięci ludzkiej, aż do Laferière'a, którego ostatni tom tylko co wyszedł spod prasy, przebrnęliśmy przez zwierzenia wszelkiego rodzaju, które jako studia nad ludźmi mogły wzbudzić żywsze zajęcie. Ale wszystko to sprawiło wrażenie zasmucające; gdyż po większej są to dzieje walk mozolnych, które w rzadkich tylko wypadkach wienczy, nikła zresztą, sława, a najczęściej zakończy starość pełna troski, spędzana w zapomnieniu. Nawet ta biedna panna Mars usycha z bólu, widząc się opuszczoną i zastąpioną przez inną... I ów wszędzie młody Laferière — i on także kończy dni swoje w złamaniu ducha i odtrąceniu. Pamiętniki pełne są utyskiwań i wyrzutów ciskanych na niewdzięczną ludzkość.

Po tych wszystkich Francuzach przychodzi wreszcie książka niemiecka o sławnej aktorce, której imię drży jeszcze na ustach Wiedeńczyków. Są to *Wspomnienia o Józefinie Gallmeyer (Erinnerungen an Josephine Gallmeyer von Max Waldstein; Wien, 1885, Jacobsthal)*. Słynna „Pepi“, która umiała się podobać wszędzie, gdzie się tylko pokazała, w tej książce napisanej przecież przez przyjaciela, można powiedzieć, że została zarzniętą. Czy autor chciał, czy nie, zaszkodzić pamięci zmarłej, faktem jest, że nie podobna już rozpoznać Pepi w tem rozszalałym stworzeniu, zadurzonym w sobie, nudzącem się wszystkimi i wszystkiem, wyrzucającem pieniądze oknami, gniewającem się o byle co, równie skorem do przyczepienia się, jak i do odczepienia. Ani jej talentu, ani dobroci jej serca, ani przywiązania do sztuki, ani wreszcie tej zadziwiającej myślności, która ją prowadziła po deskach teatralnych — nic z tego wszystkiego nie widać w książce p. Waldsteina.

Zaczyna on swoje *Wspomnienia* od zapewnień, że omijać będzie przygody skandaliczne; a tymczasem opowiada historyjki niewiele co lepsze.

Najcieńszy, jedyny poważny zarzut, jaki autor stawia sławnej, a nienaśladowanej subretce, jest ten, że zamiast zebrać z jakie 250.000 guld., zostawiła jeszcze 40.000 g. długów. Wszystko inne jej przebacza.

„Fesche Pepi“ — jeżeli biograf nie zmyśla, nigdy nie umiała mówić poprawnie ponemiecku. Uprawiała jeden tylko dyalekt: wiedeński, i tylko z nim było jej dobrze.

Są w tej książce sceny godne dawnej cyganeryi paryzkiej. Niekiedy chciałoby się ową wiedeńską Pepi uznać za dotkniętą jakąś niebezpieczną chorobą nerwów, tak okropnie popełnia szaleństwa. Przyjacieli wszystko to sumiennie spisuje, a następnie, ukłękawszy na grobie, wzdycha: „Śmierć nakazuje o wszystkim zapomnieć.“

GENERAL GORDON

(Korespondencya jego z siostrą).

(Dokończenie).

Gdy władze egipskie wysłały w Sierpniu (1881) wojsko przeciw burzycielowi, żołnierze, wszystko muzułmanie prawowierni, zawahali się, czy podnieść oręż na świętego? W Lipcu 1882 r., już Mahdi zajął Bahr-el-Ghazal, otoczył 6.000 egipcyan pod wodzą Jusuf - Baszy i wyrzucił ich wszystkich. W Czerwcem 1882 r., znowu stoczył zwycięzko jakąś walną bitwę z wojskiem Egipskiem, aż 4 Listopada 1883 jedenaście tysięcy pod wodzą angielskiego oficera w służbie Kedywa Hick - Baszy, zostaje otoczone przez tłumy sfanatyzowane, które wiedzie i wybite co do jednego człowieka. Bój trwał dni trzy i nikt nie pozostał, co by o nim wieść mógł podać—dlugo nie wiadano nawet miejsca, na którym odbył się ten mord okropny.

Tylko w pysze swojej, w pragnieniu rozgłosu i sławy, Mahdi wziął 50 niewolników i darował im życie; darował je i jednemu Europejczykowi, Vizetelly, korespondentowi jakiegoś illustrowanego pisma.

W takiej-to chwili Gordon zostaje wezwany. Anglia zrywa z Egiptem, wyrzeka się go i on wraca na scenę dawnego działania, misją jego ma być oddanie Sudanu Sudańczykom, a on przeznaczony zostaje, aby przewodniczył odwrotowi Sił Egipskich. Trzymał się jeszcze Kartum, mający 6.000 załogi egipskiej, a blisko 15.000 tysięcy było rozrzuconych po innych miejscowościach warownych. W Kartumie jest dowódca angielski, który błaga o odwołanie go. Jeszcze, jeszcze teraz odwrót jest możliwy, ale wkrótce już się to zmieni. Mieszkańcy pragną przybycia Mahdiego, przyzywają go skrytem pożądaniami duszy i otworzą mu miasto, gdy się zjawi pod nim jego chorągiew proroka pańskiego.

Odwołanie, odwrót władz i wojsk egipskich, oraz ludności napływowej, która pozostać też nie może! Sir Samuel Baker oznajmia rządowi angielskiemu, że wyprowadzenie massowe takich tłumów ludzi byłoby przedsięwzięciem niemożliwym, wyprawą bajeczną. Sam Kartum, oprócz załogi wojskowej i władz cywilnych, da z ich dziećmi i żonami, z osiadłą tam rzeszą Europejczyków 10.000 ludzi; Baker liczy potrzebne na ich wywiezienie wielbłądy na tysiące (6.000) tratwy, mające płynąć w dół Nilu przebyć jego katarakty, na setki. A w dodatku do tego parowce z działami do ostrzeliwania brzegów rzeki, dalej bezwodna pustynia Nubii i drapieżne stada Beduinów!...

Nie! rzecz jest niewykonalna... dowodzi, gdy nagle odzywa się głos drugi. Opuścić w ten sposób nieszczęśliwe ludy Sudanu, oddać je na łaskę i niełaskę chciwości rozbójniczej, otworzywszy poprzednio drogi do tego, ubiwszy szlaki wskrosz zburzonych zasieków natury, jakimi broniła je przed obcym ta natura, od której łona nie oderwały się jeszcze—to grzech, którego wstydziliby się musiało społeczeństwo cywilizowane!—pisze w *Pall Mall Gazette* Gordon, przebywający w Brukseli, z kąd ma wyjeżdżać do Konga „Ja ich kocham, Sudańczyków tych biednych“ dodaje, to też wezwany przez ministerium Wigów, przebywając natychmiast do Londynu i nie potrzebuje nawet dnia jednego, aby namyślić się i przygotować do podróży. W Kairze nie odpoczywa też dłużej: opracowuje w przeciągu dwudziestu czterech godzin odezwę do ludów Sudanu, ogłaszającą im niepodległość narodową, każe to podpisać Władzom Egipskim, i puszcza się w drogę, której kierunek nagle zmienia, i w towarzystwie jednego tylko adjutanta, pułkownika Stewart, i jednego sługi, siada na wielbłąda, przebywa na jego grzbiecie pustynią Nubii, i we dwadzieścia dwa dni po opuszczeniu Kairu (18 Lutego 1884 r.) staje w Khartum, gdzie lud cisnie się do niego, nazywając go ojcem, sułtanem, wybawicielem. On głosi najpierw w jakim charakterze stawa teraz między nimi; zajmuje *mudirieh*, to jest pałac rządowy; pali na placu pu-

blicznym księgi obrachunkowe baszów egipskich: księgi odwieczne długów, kar, zaległych podatków, pali wraz z nimi batogi rzemieńne, przyrządy do krępowania członków, okropny arsenał postępowania karnego egipskich baszów, wreszcie otwiera więzienia i wypuszcza z niego tłum cieniów raczej niżeli ludzi, jęczących tam od lat wielu, a między nimi znajduje kobietę, która przebywała tam lat piętnaście, wsadzona, gdy była dzieckiem, za przewinienie może fikcyjne.

Nazajutrz wydaje rozkaz wymarszu wszystkich Wojsk Egipskich na drugą stronę Białego Nilu. Będą ztamtąd wysyłane oddziałami do Egiptu, gdy on tymczasem zostawia sobie tylko załogę czarnych, którym za wodza daje Szyluka, niegdyś podoficera w wojsku francuzkim, ozdobionego krzyżem.

Otwiera dwie nowe bramy miasta, znosi uciążliwe opłaty, przybija na rogach ulic puszki do wrzucania skarg, które natychmiast rozpatruje, a gdy między skarżącymi się przystępuje do niego starzec, szejik Belud, który bity kijami z rozkazu byłego gubernatora, Husseina-Baszy, ma wszystkie ścięgnięte nogi ogołoczone z ciała. Gordon telegrafuje do Kairu, aby wytrącono 1.250 fran. z żołdu Husseina-Baszy, na wynagrodzenie dla nieszczęśliwego.

Dalej wydaje Gordon odezwę do zbuntowanego tłumu i każe mu się rozjechać do domów. Kraj wraca pod panowanie swoich dawnych, prawowitych władców, sułtanów niegdyś rządzących Sudanem, zatem powstanie niema już zasady bytu.

Przemawiał tak głównie do Osmana Digny, pułkownika wojsk Mahdiego, marząc, że nastąpi polubowne, spokojne uciszenie kraju. Gdy skutek taki nie daje się osiągnąć, entuzjasta ten szczery, wierzący w swoją misję, wierzący w siłę głosu prawdy, pragnie spotkać się z Mahdim, przemówić do niego, zmierzyć ducha swego z jego duchem, i kto wie, jaki byłby skutek tego wspólnego postępkę; ale Gordon jest zawsze w zależności pewnej od władzy angielskiej w Egipcie musi opowiadać się panu Baringowi, który ją przedstawia, a do którego też pisze: — „Tylko niech nie nastąpi trwoga. Jest rzeczą możliwą, że udam się do Mahdiego i że nie usłyszycie o mnie przez jakie kilka tygodni, jeżeli zatrzyma mnie jako zakładnika.“

Sir Ewelina Baring odpowiada natychmiast telegrafem, broniąc mu tego. To już nie jest kwestya jego własnej osoby—pisze w depeszy, ale wielkie zamieszanie polityczne, mogłoby spaść na Anglię, Gordon więc musi zmienić projekt. Już tylko pisze do Mahdiego i wyprawia przez posłańca ten list, nad którym Mahdi deliberuje dwadzieścia trzy dni. Po dziesięciu pierwszych dniach narady ze swoim otoczeniem, prorok pisze odpowiedź, ale wkrótce drze ją i namyśla się drugie dni dziesięć; znów pisze mozolnie list drugi, ale i ten ulega losowi pierwszego, aż po trzech dniach ostatniego namysłu wychodzi z nich nakoniec list trzeci, przesłany Gordonowi przez dwóch parlamentarzystów, dwóch suchałów, posępnej miny drabów, którzy nie chcą według przyjętego wszędzie zwyczaju, rozbroić się i przybywają na posłuchanie trzymając rękę na szabli. Wręczają list, w którym Mahdi żąda na początek, aby Gordon uczynił się muzułmaninem, i zapowiada mu, że on, namiestnik Boga, nie zatrzyma się bynajmniej w Kartumie! Przy tem liście parlamentarze składają przed Gordonem jakiś dar, owinięty i zawiązany, on nie chce go przyjąć, w namyśle niesieniu odrzuca nogą, aż w drugi koniec sali, aby potem, gdy parlamentarze się wydalili, sekretarz Gordona znalazł wewnątrz owinięcia starą, brudną, podartą suknię derwisza!

To Mahdi przeznaczał Gordonowi, który pisze do sir Eweliny spokojnie, że widać suchały parlamentarze liczyli na jego „cnotę chrześcijanina“ Muzułmanin żaden nie byłby wypuścił ich żywo.

Teraz Gordon okopuje się w Kartumie i tworzy inny projekt—żąda, aby z Kairu przysłano mu Zebera! Kiedyś już Gordon pisząc do siostry wyraził się, że wyplenienie niewolaictwa z Sudanu jest rzeczą tak niemożliwą, jak wyciągnięcie atramentu z bibuły, napojonej nim. Unosił się też namyślnie przeciw angielskiemu *Antislavery Society*, pisząc gorąco, że robi, co mu się podoba

i według myśli, którą Bóg zesłał mu w natchnieniu. Już wtedy uważał, że niewolaictwo domowe ma swoją zasadę w osobistej wolności człowieka, i że nikt nie ma prawa mieszać się w to, gdy rodzice sprzedają dziecko swoje, które się bynajmniej nie opiera temu, nie protestuje. Oburzały go głównie i przeważnie okrutne łowy ludzkie, razie dzikie. Chciał z odbitych murzynów wytworzyć sobie wojsko własne, co już było pierwszą myślą, pierwszym krokiem usunięcia na bok Egiptu i wydobycia Sudanu spod władzy dzikich baszów, ale teraz ma to wyraz inny, gdy on, działający zawsze w imię Boga, w imię najczystszej cnoty, najświętszej moralności, chcąc ogłosić przywrócenie prawne niewolaictwa wzywa sobie na pomoc bezczelnego rozbójnika, zamierza dokonać dzieła swego przez to narzędzie skalane i jest też to chwila zachwiania się, chwila zarazem upadku tego człowieka, tak dotąd niezwykłego. Anglia nie przystaje na to, ale Anglia, a raczej ministerium Wigów: Gladstone, ten pobożniś ciasnego umysłu i małego serca, opuszcza nieszczęśliwego swego wysłańca, który darmo wzywa pomocy, woła choćby tylko o dwustu ludzi przybywających z Anglii i otoczonych urokiem jej potęgi. Ale nic, nic nie dostaje i Gordon jest-to ofiara poświęcona temu małoduszemu, kramarskiemu, połowicznemu duchowi Anglii, który stoi obecnie na jej czele. On to czuł, nieszczęśliwy! Odstąpiła go już teraz ta wiara w siebie, która była jego siłą zwyciężką; uczucie zachwiania się pod parciem rozpaczliwych okoliczności odebrała mu ją niewątpliwie, i Gordon, który raz, choćby tylko przez jeden moment obłądu, chciał czynić Zebera sprzymierzeńcem swoim, to już nie Gordon dawny, ten który się czuł Mojżeszem, który się widział nożycami w ręku Boga! Wiemy jak zginął śmiercią okrutną; nawet nie pod ciosem wroga, ale zdrajcy, a to tylko zostało po nim wiadomem, że wiedział o zbliżającym się końcu swoim. Na kilka dni przed rozegraniem się ostatniej sceny z dramatu jego życia, pisał do znajomego w Kairze:—„Już nie usłyszycie o mnie więcej, już nie zobaczycie mnie.“

Teraz Anglia stawia mu pomnik, królowa każe ryć jego rysy w marmurze, a ministerium Gladstone chce dać donacyą jego siostrze. Ale odmówiły tej zapłaty krwi.

Został podobno po Gordonie pamiętnik, o który jedynie upominają się one od rządu.

Marya Ilnicka.

Korespondencya zagraniczna.

Poznań, w końcu Marca 1885 r.

Zebrania ogólne różnych instytucji i stowarzyszeń, w Marcu odbyte, skupiły w Poznaniu życie całej prowincji; garniono się na sale obrad licznie i chętnie, chętniej niż na poprzednie zabawy, i słusznie, bo jeśli nie mamy za co się bawić, za to, mamy, zaiste, o czem radzić i czemu zaradzać. Czy odezwa przeszłoroczna, kilkudziesięciu obywateli, oddziałowała skutecznie na nasze społeczeństwo? Dość trudno na to pytanie odpowiedzieć. Prostoty było niezawodnie więcej, skromność ogólniejsza, głośniejszy hulaniek, wyskoków zbytku, rejestrować nie podobna. Jestże to istotnie już cnotą, wynikiem dobrych postanowień, czy też skutkiem biedy, ciężkich materialnych stosunków, nakazujących ograniczanie się w bezmyślnych wydatkach? Ale jakby jakie *fatum* nad nami zawisło, mimo owych zmian na poważniejszej i lepszej, *le diable n'y perd rien*. Zapewne, można było dostrzedz chwalebny reformę w ogólnym nastroju towarzystwa; ale, niestety, gdy z jednej strony cieszyć się należało widocznym umniejszeniem zbytku, z drugiej nieustająca szalona gra w Re-sursie Obywatelskiej wystąpiła jak nowe widmo nieszczęścia na widownią naszego życia narodowego. Oszczędności całych rodzin, i pojedynczych osób niewiele przyniosła korzyści, jeśli potem na jedną kartę stawiać się będzie tysiące, a nawet i dziesiątki tysięcy marek. Zdarzało się teraz, że przegrane

jednego wieczora przewyższały wartość dobrego folwarku. Oddawna tyle i tak wysoko nie grano w Poznaniu, a objaw to tem smutniejszy, iż obok ludzi bogatych, niepojmujących ani wartości majątku, ani obowiązków, jakie wkłada zasobność, wciąż się zawsze w to błędne koło mnóstwo ludzi niemających już nic do stracenia, a ztąd tem śmielszych w zawieraniu ślepemu przypadkowi. Przerażeni tym szalem, poważniejsi członkowie klubu postawili wniosek, aby gry hazardowne wyprzeć zupełnie z sal resursy poznańskiej. I cóż się stało? Grano na zabój przez dni kilka, aby pożegnać kończącą się wrzekomo epokę hazardu, a gdy w uciechowej dążności postawiony wniosek upadł, z tej jakoby racyi, iż lepsza gra otwarta, aniżeli pokątna szulernia, obchodzono znów w ten sam sposób tryumf zasady i utrzymanie się kwindecza i *baccarata*. Smutne to rzeczy, ale kronikarz zobowiązany tętna odczuwać, z życia codziennego chwytając odgłosy, nie może zbierać samych tylko dodatnich, pomijając ujemne: owszem, nawet zubocza godzi się chłostać i piętnować straszną namiętność, tak wymownie niedawno określoną przez zmarłego przedwcześnie Pawła de Saint Victor, należącego do rzędu najświetniejszych pisarzy francuzkich naszej epoki. W jednym z tych zboczeń od przedmiotu pełnych błysków stylu, w jakie obfituje jego pośmiertne dzieło: *Les deux Masques*, pisze on, z ogniem sobie właściwym: „Zaiste, namiętność do kart straszną jest namiętnością! Ileż ona czei shańbiła, ile ludzkich zmarnowała przeznaczeń! Sam Neron niewinniejszym jest od króla treflowego, Messalina dziewicą czystą w porównaniu z damą pikową. Wystarczy tasować karty we właściwy sposób, aby popłynęły natychmiast strugi łez i potoki krwi. Stare indyjskie przysłowie powtarza: Czem Brama wśród Bogów, Ganges wśród rzek, słoń wśród zwierząt, orzeł wśród ptaków, tem gra wśród namiętności ludzkich. Te malowane figurki, ciskane w nocy na zielonem suknie, toć istne wilkoki, upiory, strzygi, krwi serc ludzkich łakome.”

Ale dokądże mnie zapędziło oburzenie na gorszającą stronę tegorocznych zjazdów? Gdyby nie obowiązek kronikarski może stosowniej było pominąć te szaleństwa z Dantejskiem:

.....„ma guarda e passa“.

a to tem bardziej, iż obok zasmucającego symptomatu tyle zawsze pięknych, podniosłych, uczciwych zachwycie można odgłosy. Miłosierdzie chrześcijańskie cudów, zaiste, dokazywało w ciągu mijającej, a, zaprawdę, chłodnej i głodnej zimy. Mnóstwem potrzeb niezniechęcone, z tradycją Piastowskiej hojności, z wiarą, że nigdy mąki i miodu nie ubędzie w szafarniach dobroczynności, nie tylko swoich częstowało ubogich, ale jeszcze znajdowało sposobność dzielenia się groszem ofiarnym z dalszemi potrzebami i biedami. Tu potrzeba zawsze uchylić czoła przed ofiarnością serdeczną, która cechuje naszą dzielnicę, potrzeba ugiąć kolano wobec hojności płynącej stałym miłosierdzia i filantropii korytem. Doroczne walne zebranie pomocy naukowej uwydatniło jeszcze raz jeden wspinał się tej pięknej instytucji żywotność; liczne zapisy testamentowe zwiększają fundusz żelazny, jednorazowe datki zwracają najczęściej wsparcia niegdyś udzielane pracownikom, którym za pomocą stypendyów ułatwiających lata nauki udało się zdobyć sobie przebojem niezależne stanowisko. Obrót pieniędzy w kassie towarzystwa złożonych bardzo też był znacznym, skoro dochód przewyższał 72.000 m., rozchód zaś wynosił blisko 62.000 m. Sześćdziesięciu przeszło młodzieńców korzystało z dobrodziejstw Pomocy Naukowej: z liczby tej najwięcej zawsze chwytają się medycyny, jako najbardziej niepodległego wobec systematów rządowych i niezależnego od politycznych odmian zawodu. Następnie poczet znaczny młodych teologów, kształcących się, dla obecnego braku seminariów miejscowych, za granicą, otrzymuje hojne wsparcie Towarzystwa stojącego w części niespożyta ofiarnością naszego klubu. Obfitością datków przoduje zawsze miasto Poznań. Mimo usiłowań, aby skierować dążności młodzieży ku praktycznym zawodom i nauce teoretycznej handlu lub gospodarstwa, dotychczas mało w tym kierunku rezultatów osiągnięto.

Nawet nauki przyrodzone niewiele wabią młodych studentów, oile nie są z medycyną związane. Najwięcej tedy, jak dawniej, tak i dzisiaj wychowuje nasze towarzystwo kapłanów i lekarzy, zabezpieczając w ten sposób zdrowie ciała i duszy przyszłych pokoleń.

Zjazd agronomiczny mniej przedstawiał ożywienia, aniżeli w roku ubiegłym, a nosił też cechę mniej wyłącznie rolniczą, bardziej ekonomiczną, z powodu przesilenia, które mimo nowych cel ochronnych tak srodze uczuć się daje właścicielom ziemskim. Zestawiwszy przeciętną cenę zboża w ciągu ostatnich lat dwunastu, wykazano może z pewnem wygórowaniem rachunku, iż dziś każde 1000 kilogr. żyta sprzedać potrzeba o 91 m. niżej, a taką samą ilość pszenicy o 104 m. niżej od dawnych cen, co zupełnie uniemożliwia rolnicze stosunki. Robota i nakład żadną miarą w tych warunkach wrócić się nie mogą. Spróbowano przemysłu w dziedzinie gospodarstwa, zakładając fabryki mączki, cukrownie, gorzelnie, ale i te zawiodły, i na tych zawiśła fatalność obecnego przesilenia. Skutkiem tak niebываłej niedoli ziemia nagle straciła na wartości; po kilku latach, w których dochodziła do blisko 300 marek za morgę magdeburską, ceny jej spadły dziś do niespełna stu marek, a prąd niepomyślny nie zatrzymuje się dotąd, lecz zda się zdążać do zupełnego zbeczenia roli. Smutne te rzeczy zamęcały narady Towarzystwa Agronomicznego ujmowały nawet bratniej wesołości przy wspólnych, po całodziennych pracach, biesiadach. Dotychczasowy od lat dwunastu Prezes, Dr. Henryk Szuman, ustąpił dobrowolnie z chlubnie zajmowanego stanowiska a w jego miejsce postawiono na rok jeden p. Zygmunta Szuldrzyńskiego, poczem spodziewać się można, iż, przodujący na polu ulepszeń rolniczych i postępowego gospodarstwa, młody hr. Stanisław Żółtowski, stanie na czele instytucji, której już w ostatnich latach rzetelnie oddał usługi i poniekąd nowe nawet wytknął jej tory. Zebranie delegatów kółek rolniczych, jak zwykle, zamknęło poczet narad marcowych, uwidoczniając rozwój tak dobroczynny dla włościan i wśród włościan organizacyi. Sto czterdzieści sześć kółek obecnie pomyślnie działa na podniesienie rolnictwa na małej własności. Skutki już dziś są jawne a rozwój pszczolnictwa i innych gałęzi domowego gospodarstwa także pod wpływem kółek otrzymuje podniecie i stosowne zachęty.

Takie obliczenia i zestawienia dodają otuchy lo życia, świadcząc, że dobre ziarno nigdy daremnie nie pada, żadna praca próżną nie bywa a zwłaszcza, iż mimo przeciwnych warunków, mimo własnej nieraz słabości, kapitał nasz moralny, oparty na łączności klas społecznych w chwili powszechnego na świecie rozstroju, bądźco bądź rośnie, bądźco bądź się wzmagają. Potrzeba mieć to przekonanie i tą wiarą się krzepić, aby znieść upał i ciężar dnia dzisiejszego. żyć i przeżyć czasy obecne, materialnie ciężkie, moralnie przygnębiające. Nasi posłowie z niewzruszoną stałością toczą, jak zwykle, swe zasadnicze w parlamencie niemieckim zapasy. Muszą tam pieć gorzyć, jako wodę, słuchać obelg codziennie miotanych przy każdej sposobności na najbliższe i najdroższe nam osoby i sprawy. Gdy się zaś widzi zbliżka daremność ich usiłowań, podziwiać potrzeba wytrwałość, z jaką zajmują obowiązkowe posterunki, wobec zgłuszającej wszystko i wszystkich lawiny pangermanizmu. Wiadomo, jakie losy spotkały petycję szkolną, podpisaną przez 60,000 ojców rodzin z Poznańskiego, a obejmującą nader skromne żądania: powiększenie liczby godzin na lekcje religii przeznaczonych, powrócenie duchowieństwu prawa nadzoru szkolnego, nauczanie zrazu dzieci niemających poniemiecku w ojczystym języku, aby dopiero naukę niemiecką rozpoczynać wtedy, gdy dzieci podrosną i rozwiną się na własnym gruncie, unikając przez to przemagającej dziś metody uczenia mechanicznego, niby papug, co już bardzo widocznie zniżyło poziom ogólnego wykształcenia. Umiarkowana ta jednak petycja żadnego odnieść nie zdołała skutku, nie dostawczy się nawet przed forum sejmowe; kommissyabowiem przygotowała, roztrząsająca kwestyę i petycyę przed oddaniem ich pod powszechnie

rozprawy w sejmie, mimo oporu sześciu członków z jej łona przeszła do porządku dziennego nad skargą ojców rodzin w Poznańskim i bezwzględnie odrzuciła prośbę tylu tysiącami podpisów popartą.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Konkurs imienia Pauliny Krakowowej, na najlepsze dziełko do czytania dla dziewcząt, ogłoszony w 1882 r. z terminem na dzień 19 Marca 1883 roku, lecz spełzły wtedy na niczem z powodu, iż nadesłane prace nie odpowiadały warunkom, przez sąd konkursowy wymaganym, i przedłużony z ostatecznym terminem po dzień 1 Stycznia 1885 r., został rozstrzygnięty w dniu 18 Marca r. b. Z nadesłanych pięciu prac: „Rodzina Karlewskich“, „Złota nitka“, „Księżniczka“, „Wieniec bławatków“, „W rodzinie“, przyznano nagrodę (300 rs.) powieści „Księżniczka“ p. Zofii Urbanowskiej, jak się to pokazało po otwarciu koperty, „Złota nitka“ została wyłączoną z konkursu, jako rzecz dotykająca położenia wyjątkowego. Sąd konkursowy składał się z pań: Maryi Ilnickiej i Jadwigi Sikorskiej; z panów: księdza Zygmunta Chełmickiego, Piotra Chmielowskiego i Floryana Łagowskiego.

— Towarzystwo pań św. Wincentego á Paulo, zajmujące się w mieście naszym od lat 31 miłosiernym wspomaganiem ubogich i chorych, ogłosiło doroczne sprawozdanie z czynności swoich. W przeciągu ubiegłego roku udzielono pomocy 798 rodzinom, umieszczono w zakładach i przytulniach dobroczynnych lub w służbie 220 osób. Ubogim rozdało Towarzystwo 8,216 lekarstw, 112,984 funty chleba, przytem znaczne zapomogi w postaci: mąki, kaszy, mięsa, soli, cukru, wina, herbaty; oraz kartofli, grochu i innych jarzyn; także odzieży; wydatkując przytem na utrzymanie apteki Towarzystwa, na opłatę komornego za ubogich, utrzymanie Sióstr Miłosierdzia. Dochód roczny, powstały z darów, kwest i procentu od sum posiadanych, wynosił 14,393 rs., co w połączeniu z remanentem 400 rs. stanowiło razem 14,793 rs.; wydatek był 13,989, zatem pozostało remanentu 804 rs., czyli więcej od roku zeszłego o 404 rs. Jak rezultat, ze względu na zasoby Towarzystwa tak szczęśliwy, mógł być otrzymany w tym wyjątkowo ciężkim roku? — zdaje się tylko tłómaczyć zwiększona ofiarność osób prywatnie działających.

— W odcinku *Przeglądu Tygodniowego* zamieszczony jest list, zwracający uwagę, że tamże zamieszczony pomysł sali zarobkowej dla uboższych pracownic igłą nie jest wśród naszych stosunków niewykonalnie trudnym, jak tego dowodem *Poznańskie towarzystwo opieki nad pracą kobiecą*, rozwijające się bardzo pomyślnie i rozszerzające się na pomniejsze miasteczka Wielk. Księg. Poznań. Czytelnicy naszego pisma znają działalność wspomnianego stowarzyszenia, na którego czele stoi siedm pań, z kierowniczką główną, p. Maryą Wilczyńską. Pierwszą czynnością stowarzyszenia było zebranie mniej zdolnych szwaczek i wyrób ubiorów dla ludu, czemu dopomogły w najpożądany sposób liczne składki i dary w naturze, nadsyłane przez kupców. Towarzystwo otworzyło najpierw w Poznaniu przy ulicy Jezuickiej skład ubiorów ludowych, a gdy odbył się bardzo pomyślnie, bezwzględnie przybrało większą liczbę pracownic i otworzyło składy podobne do poznańskiego w Gnieźnie i innych miasteczkach. Wielką część zasługi za ten szczęśliwy obrót rzeczy należy się p. Maryi Wilczyńskiej, która, zupełnie bezinteresownie oddając się interesom stowarzyszenia, rozwija bardzo gorliwą działalność: jeździ po miasteczkach i targach dla zakupowania materiałów surowych z pierwszej ręki. Trzeba jednak dodać, że część uznania powinna przypaść ludowi poznańskiemu, bo wykształcony, trzeźwy, dzienniki pilnie czytujący, może sobie zdawać sprawę z położenia, pojmować interes

swój, złączony z interessem ogółu. Ztąd nie daje się on łapać pokątnym wyzyskiwaczom i rozumiejącej znaczenie solidarności „zslusuje“ zawsze do gromady.

— Komitet wystawy Rolniczo-Przemysłowej ogłosił między innymi trzy konkursy, wchodzące w dział pracy kobiecej, to jest: konkurs w zakresie gospodarstwa mlecznego, pszczolnictwa, jedwabnictwa. Konkurs na przedmioty gospodarstwa nabiałowego jest: 1) Mleko niezbiierane zbierane, konserwowane, zgrzeszczone, śmietana. 2) Masło z mleka słodkiego, lub śmietany, na prędce użycie; masło z kwaśnego mleka lub śmietany niesolone i solone. 3) Ser tłusty z niezbiieranego mleka lub śmietany; ser w pół tłusty z mleka częściowo zbieranego; twaróg i ser chudy z mleka całkowicie wybieranego; ser owczy i kozy. Za łokieć kwadratowy przestrzeni zajętej na półkach, płaci się 3 rs. Masła w każdym gatunku wystawić należy funtów trzy. Ostateczny termin przyjmowania świeżego masła na plac wystawy, jest dzień 9 Czerwca. Mleko może być dostawiane na plac wystawy codziennie, inne wyroby gospodarstwa mlecznego powinny być dostawiane na plac wystawy w dniu 7 Czerwca. 1) Machiny i przyrządy mleczarskie, naczynia i przyrządy do dojenia krów. 2) Naczynia do chłodzenia i przewożenia mleka. 3) Przyrządy do wydzielania i zbierania śmietany, oraz do wyrobu masła. 4) Przyrządy do wyrobu serów. 5) Przyrządy mleczarskie do domowego użytku. W tym dziale za łokieć kwadratowy krytej zajmowanej przestrzeni płaci się 60 kop. Przyrządy i naczynia powinny być dostawione na plac w dniu 7 Czerwca. Na nagrodę dla wszystkich tych działów naznacza się: dwa dyplomy na medale srebrne, cztery na medale brązowe, 100 rs. i listy pochwalne. Zgłoszenia się przyjmuje komitet wystawy po dzień 1 Maja; adres: Krakowskie-Przedmieście Nr 30.

Konkurs pszczolnictwa obejmuje: 1) Prace literackie z dziedziny pszczolnictwa ogłoszone drukiem od czasu ostatniej wystawy rolniczej w Warszawie w 1874 roku. 2) Ule wszelkiej konstrukcji, oraz modele takowych z wyjaśnieniem piśmiennem metody prowadzenia pasieki w tychże ulach na przeciąg roku. Jeżeli ule nie są własnego pomysłu, lecz ulepszone, wykazać na czem udoskonalenie należy. 3) Stebniki wszelkiej konstrukcji; przedstawić ich modele, plany, rysunki wraz z opisem i wykazami kosztów. 4) Miodarki (centryfugi), transportówki, wszelkie przyrządy pszczolarskie, oraz warsztaty lub narzędzia do wyrabiania uli lub przyrządów. Przedstawić ceny tychże. 5) Plastry miodne w ramkach i plastry, opróżnione zapomocą miodarki. Przedstawić po jednym okazy plastrów pszczolnych i po jednym trutniowych. W opisie podać wiadomość ile razy w ciągu lata opróżniają się plastry i jaka ilość plastrów próżnych zachowuje się do dalszego użytku z roku na rok. 6) Miód płynny (patoka) skryształizowany, przedstawić w naczyniach szklanych, garnkowej objętości. W dołączonym opisie podać wiadomość o cenach sprzedażnych na wagę funta i puda. 7) Wosk; przedstawić w kregach dowolnej wagi; w dołączonym opisie podać wiadomość o rocznej produkcji, sposobie użytkowania, cenach sprzedażnych na wagę funta i puda. 8) Zbiór szkodników pszczolnych; przedstawić okazy w naturze i rysunkach. 9) Zbiór roślin miododajnych; przedstawić zielnik takowych.

Konkurs jedwabniczy. 1) Okazy jedwabników, morwowych i dębowych w rozmaitych stadyach ich rozwoju, oraz okazy chorobliwych gąsienic tychże; przedstawić w naturze, w rysunku lub preparatach spirytusowych lub glicerynowych. 2) Oprzędy

(kokony) jedwabnika morwy i dębu. Przedstawić okazy po jednym funkcji; w opisie wykazać rozmiar rocznej produkcji i cenę sprzedażną tak oprzędów, jak jajeczek. 3) Jedwab' rozwinięty bądź z własnych, bądź z obcych oprzędów. Jedwab' surowy i farbowany, odzież, przeroby z odpadków domowym sposobem; przedstawić przynajmniej funtów pięć; w opisie podać ilość roczną przez wystawcę rozwijanego jedwabiu, oraz w sprzedaży cenę funta tegoż. 4) Zbiór narzędzi i przyrządów przez wystawcę pomysłanych lub udoskonalonych, a służących do hodowli jedwabników, lub rozwijania oprzędów. Modele lub plany wychowalni, czy też plantacji morw i szkółek. Przedstawić je w naturze, w modelach i rysunkach, z dołączeniem szczegółowych opisów. 5) Nasiona morwy białej lub jej odmian, w słojach szklanych półkwartowej objętości; w opisie dodać rozmiar rocznej produkcji i ceny sprzedażne łuta i funta. 6) Drzewka morwowe różnego wieku ze szkółek. Przedstawić po kilka okazów, a w opisie podać rozległość szkółki i ceny sprzedażne na pojedyncze sztuki, setki i tysiące. Stawiający do tego konkursu zechcą urządzić drzewek jak najwcześniej klomb w gruncie na miejscu im wyznaczonym. 7) Plantacje morwy lub żywopłoty z tychże. Podać opis szczegółowy i dowody czasu ich założenia, rozmiarów, ilości drzew, ich wiek, w jakim stanie są obecnie? Czy hodowla jedwabników odbywała się i kiedy, jaka była produkcja oprzędów, czy jedwab na miejscu był rozwijany, sprzedawany i tam dalej? 8) Prace ogłoszone drukiem w przeciągu ostatnich lat piętnastu, jak i w rękopismach. 9) Tkaniny różnego rodzaju, fabryczne i domowe.

— W Lublinie zawiązała się spółka młodych pań dla założenia sklepu ubiorów kobiecych i dziecińczych.

— Na wystawie gospodarczo-spożywczej, gdzie nagrody wyznaczone były w listach pochwalnych pierwszej i drugiej klasy, otrzymało je pań pięć. List klasy I-ej przeznaczono pp. Cwierczakiewiczowej Lucynie za najdoskonalszą produkcją i kilkotomowe wydawnictwo książek treści kucharskiej i porządku domowego; Hirszbard Teresie za sery; Szumlańskiej Paulinie za soki, konfitury i książki- kucharskie. Listy klasy II-ej otrzymały pp. hr. Duninowa za produkcją dobrych a tanich win Kachetyńskich; Rodewald za octy.

— „Gazeta Świąteczna“ donosi w korespondencyi znad rzeki Kamiennej, iż w pewnej miejscowości stron tamtych, której nazwiska nie wymienia, szlachetna młoda filantropka, umiejąca różne roboty ręczne, a między niemi wyrób koronek, przygarnia do siebie po parę młodych dziewcząt wiejskich i uczy je wspomnianych robót. Dziewczątka te stają się dla innych wzorem i przykładem, rodzicom przychodzą z pomocą, bo wyroby pracy swojej sprzedawać mogą, często bardzo korzystnie. Takie zajęcia delikatniejszej natury budzą chęć do oświaty, do ułatwiania sobie pracy za pomocą czytania i pisanie, bo są przecież książki o wyrobie koronek, oraz innych pracach kobiecych, z rysunkami i opisami takowych. Rozbudzona chęć czytania skłania do wzięcia w ręce i innej książki, dziewczęta owej miejscowości umilają też sobie wieczory pożytecznym czytaniem. Zpomędzy tych dziewcząt dwie: Anna Jurkowska i Franciszka Putońska, za pieniądź uzyskany ze sprzedaży koronek zaprenumerowały sobie na rok bieżący *Gazetę Świąteczną*. Korespondent dodaje, że Anna Jurkowska jest córką wielce zacnych rodziców, czego się można zawsze domyślać, gdy młoda dziewczyna jest pracowitą i wyższego polotu ducha. Ale owa nieznana nam nauczycielka, ta dobroczynna

wrózka wioski przez siebie zamieszkiwanej, ta jest głębokiej czci i uznania ludzkiego godna.

— Panna Celina Dobrzańska córka byłego redaktora lwowskiej *Gazety Narodowej* i zarazem dyrektora Teatru Lwowskiego, po jego wyjeździe do Mentony w celu poratowania zdrowia, objęła przedsiębiorstwo teatru i próbą a razem dowodem jej zdolności w tym kierunku było najlepsze jak tylko można i bez zarzutu wśród licznych trudności przeprowadzone wystawienie na scenie Lwowskiej opery Zelenieckiego: *Konrad Walenrod*.

— Mrs Marshall, żona profesora Ekonomii Narodowej w Cambridge pomagała mężowi przy opracowaniu świeżo wydanego przezeń dzieła: „Economies of Industry.”

— W Paryżu studjuje obecnie medycynę 78 studentek.

— W Berlinie między odczytami urządzonemi przez stowarzyszenie: „Berliner Zweigverein des deutschen Kulturbundes“ miał przemawiać prof. Cassel: „O podległości kobiety“, gdy przecież nagła słabość przeszkodziła mu do tego, zastąpiła go przebywająca w Berlinie Amerykanka, Klara Neymann z Nowego-Yorku, i mówiła o kobietach Ameryki, które podzieliła na trzy klasy: 1) elegantek, dam salonowych; 2) śmiałych, kokietujących, ubiegających się za oryginalnością kobiet z arystokracji pieniężnej, które rozjeżdżając się po Europie i usiłując błyszczeć w jej stolicach, dają o Amerykankach złe i fałszywe wyobrażenie, wreszcie: 3) najliczniejszą klasę pracowitych, mężnych, cheiwych światła i samodzielnych, ale nie samowolnych kobiet. Autorka mówiła między innymi o miss Maryi Michel, profesorce astronomii w pierwszym amerykańskim uniwersytecie dla kobiet „Vassar College“, obecnie już sędziwej, blisko siedmudziesięcioletniej, dotąd jeszcze pełniącej swe obowiązki nauczycielki. Dalej o Elżbiecie Blackwell pierwszym w nowożytnych czasach kobiecym doktorze medycyny. Dziś jest w Ameryce znaczną liczbą lekarek, adwokatów, urzędniczek w departamencie skarbu, wychowania, oraz przy więzieniach rządowych. Przecież zaręczała słuchającej ją publiczności, że nic to nie szkodzi rodzianym obowiązkom kobiety, jako żony i matki, bo miłość, która węzły małżeńskie zawiązuje, jest jednakowa we wszystkich sercach kobiecych. W Ameryce kobieta mając sobie otwarte pole pracy może być właśnie lepszą żoną, bo z prawdziwego uczucia za męża idzie i zwykle tylko w pierwszych, trudniejszych dla młodej pary chwilach, mężowi pomaga pracą pozadomową. Gdy on posuwając się dalej w obranej karierze, zarabia więcej, a przybywa dziecko, zwykle żona pracować przestaje.

Od Redakcyi.

Otrzymałmy następujące wyjaśnienie:

„W ostatnim numerze *Bluszczu*, w ustępie końcowym artykułu pod tytułem: „Z dziedziny Sztuk Pięknych“, zaszła pomyłka. Redaktorowie warszawscy nie żądali bynajmniej zwrotu złożonych przez siebie na pomnik Mickiewicza funduszków; zastrzeżli sobie tylko *czasową ich nietykalność* aż do dalszego porozumienia się“.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tyt.: *Sieroca dola*, przez autorkę powieści *Silny duch*.

TREŚĆ. Spojrzenie Chrystusa (Legenda). — Ciężkie czasy, Kwestyonaryusz. — Justka, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z Magdeburga X, J. I. Kraszewskiego. — Generał Gordon, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Korespondencya zagraniczna, (Poznań). Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Dołącza się arkusz 2-gi powieści pod tytułem: *Sieroca dola*, przez autorkę „*Silny duch*“. — 30 wzorów ubiorów i robót wraz z opisem — Sekretre gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

PODATEK DO BLUSZCZU,

Nr 13.

Wzory ubiorów i robót

z najlepszego pisma paryzkiego

MODE ILLUSTRÉE (Bazar)

jednocześnie i li tylko w Bluszczu ze wszystkich pism polskich są podawane.

Serweta aplikacją, płaskim i pocztowym ścięciem.

Rycina Nr 6 i 7.

Serweta zrobiona jest z adamaszku w deseń kolorowy na tle kremowym, którego deseniowe figury zahaftowane są różnobarwnymi jedwabiami, ścięciem płaskim, gałazkowym i pocztowym, a przybrana szlakiem wykonanym aplikacją; przyszyte szlaku zakryte jest wązkim paskiem z pasowego pluszu. Na szlak potrzebny jest odpowiednio długi i szeroki pas pasowego atłasu, na który nalepiają się deseniowe figury wycięte z pluszu. Figury te muszą być obwiedzione sznureczkiem, zwiniętym z jedwabnej i złotej nitki, a przymocowanym poprzecznymi ścięgami jedwabiu, oraz połączone siatką ze złotych nici; muszki haftują się płasko sznelą, a przyszyte szlaku zakrywa się sznelą i złotym sznurkiem. Pliska obejmująca brzeg szlaku, przybrana jest haftem, sznelą, ścięciem pocztowym i supełkami ze złotych nici, oraz oszyta frendzlą zakończoną kwastami.

Sakiewka szydełkową robota.

Rycina Nr 8.

Sakiewka robiona jest z kordonkowego jedwabiu w dwóch cieniach, wciągnięta w obrączkę obwiniętą kordonkiem, a ujęta po obu końcach w niklową oprawę. Na założeniu 68 oczek łączących w kółko, robić ciemniejszym kordonkiem kolej 1: 1 ści. ocz. w każde ocz. założenia; potem następuje 56 kolei robionych podobnie, zmieniając cienie jedwabiu co trzy koleje. Zaokrąglone końce woreczka robią się sposobem następującym: w środku

we 32 ocz. z 34 najbliższych robić 9 kolei tam i napowrót, robiąc na początku każdej kolei 1 ocz. pow. i opuszczając 1 ocz. poprzedniej kole, a na końcu opuszczając 2 i robiąc 1 pow. ocz.; z drugiej strony, oraz do drugiej połowy sakiewki, zrobić także same zaokrąglone części.

Koszyk do papierów.

Rycina Nr 10.

Koszyk ten którego tylna ścianka jest płaska, a przednia zaokrąglona, zrobiony z żółtej trzciny i może być powieszony na ścianie. Wewnątrz boki koszyka wyłożone są ufałdowanym atłosem, a dno tekturą gładko obciągniętą tymże atłosem; zewnątrz koszyk przybrany jest pluszem oliwkowego i miedzianego koloru, sznurem i szydełkowym szlakiem, włóczkowymi bombelkami; oraz gałazką kwiatów zrobioną z włóczki i złotych nici szydełkiem, następnym sposobem: na 1 listek z żółtej włóczki: * 9 ocz. pow., potem z powrotem najbliższe ocz. opuścić, 1 ocz. ści., 1 pół słup., 1 sł., 2 sł. podw., 1 słup., 1 pół słup., 1 ocz. ści., wszystko to o 8 ocz. pow., od * powtórzyć 5 razy i zrobić 1 ocz. ści., w pierwsze pow. ocz.; brzegi wszystkich sześciu listków obejść 1 koleją ze złotych nici: 1 ści. o., w każde ocz. brzegu i t. d. Na pączek potrzebne są dwa podobne listki, a na łodygę kwiatka rzęd pow. oczek odpowiedniej długości. Na liść potrzeba zrobić 11 pow. ocz., najbliższe oczko opuścić, potem 1 ści. ocz., 7 sł., 1 pół-słup., 1 oczko ści. w 2 ocz. pow., 1 pow. o., które ma stanowić wierzchołek liścia; druga połowa liścia robi się jak wyżej, tylko w odwrotnym kierunku; potem na brzegach liścia robi się jedna kolej ści. ocz., ze złotych nici. Następnie zahaftować kwiaty i pączki sznelą miedzianego, a liście oliwkowego koloru i przymocować do środka kwiatka włóczkowy bombelk, a zrobioną w ten sposób gałazkę do pluszu miedzianego koloru. Znajdujące się poniżej upięcie z oliwkowego pluszu, oszyte jest szydełkowym szlakiem z włóczki tegoż koloru, oraz krętej przędzy. Kolej 1: Odpowie-



Nr 1. Suknia z aksamitu i wełnianego materiału w deseń. Opis pierw. str. tabl.

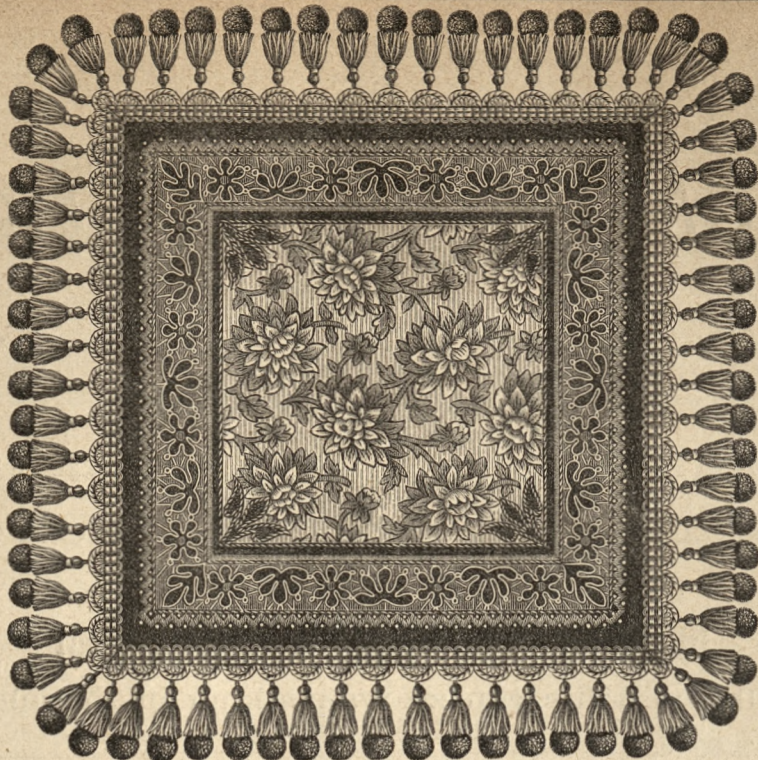
Nr 2. Suknia z wełnianego materiału w paski. Opis pierw. str. tabl.

Nr 3. Suknia z muslinu. Opis pierw. str. tabl.

dniej długości rząd pikotów (t. j. 5 pow. ocz. i 1 ścis. ocz. w pierwsze z tychże). Kolej 2 i 3 ciągle naprzemian: 5 ocz. pow., 1 ocz. ści. w kaźden pikot; skracając jednak te koleje, o ile potrzeba, tak aby szlak w środku był szerszy, a na końcach węższy. Szlak otaczający brzeg koszyka, składa się z samych pętelek, na które bierze się nitkę złożoną w pięcioro (4 nitki włóczki oliwkowej w dwóch odcieniach i jedną nitkę krętej przędzy) 1 ocz. pow., owinać dwa razy 5 cent. szeroką deseczkę, wziąć wszystkie razem pętelki na szydełko i zrobić 1 ocz.; od * powtarzać. Z drugiej strony pętelek robić po 1 ścis. ocz. w kaźdą pętelkę; na tej kolei robi się jeszcze jedna: 1 pikot, 1 ścis. ocz. w co trzecie o. poprzedniej kolei. Po przymocowaniu szlaku do koszyka, dodać z obu stron włóczkowe bąbelki.



Nr 4. Suknia z wełnianego materiału i welwetu (nonpareil). Pleev. (Do ryc. 30 w Bl. Nr 12)



Nr 6. Serwetka aplikacja płaskim i pocztowym ścięciem. (Do ryc. 7).



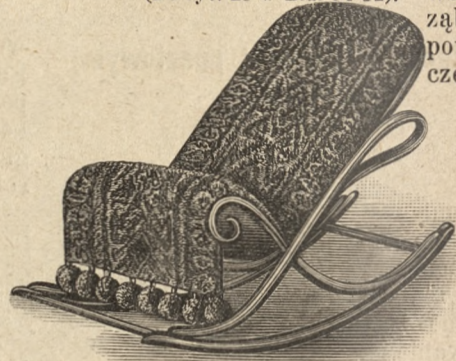
Nr 5. Szlafroczek z wełnianego materiału. Pleev. (Do ryc. 29 w Bl. Nr 12).



Nr 8. Sakiewka robotą szydełkową.



Nr 10. Koszyzek do papieru robotą szydełkową.



Nr 9. Stołeczek pod nogi. (Do r. 31 w B. Nr 12).



Kołnierzyk dziecienny.

Rycina Nr 11.

Kołnierzyk ten jest z kremowej minardisy



Nr 11. Kołnierzyk dziecienny. (Do ryc. 20).

Nr 12. Okrycie dla panny od 8 do 10 lat. (Do ryc. 21 w Bl. Nr 12). Prząd.

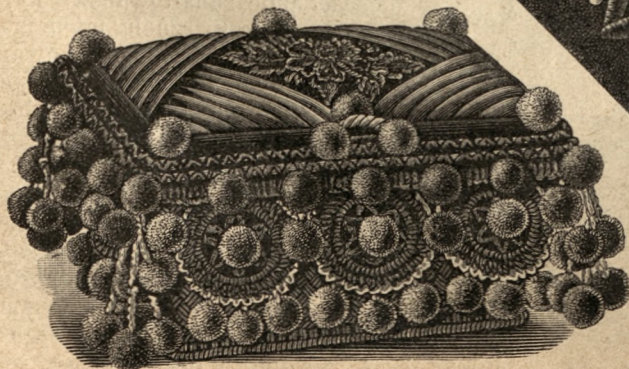
i krętej bawelny tegoż koloru. Najpierw robią się rozetki sposobem następującym: 1 ocz. ścis. * o pętelek z jednej strony minardisy wziąć na szydełko i połączyć je jednym ocz., 2 oczka pow., robotę odwrócić na drugą stronę (ta strona ma stano-

tylko zamiast 4 słup., robi się 6 słup. Kolej 5 jak 3, tylko zamiast 5 pow. ocz. robi się 7 ocz. Kolej 6 jak 2 tylko zamiast 4 słup. robi się 8 słup.; tak zrobiony środek rozetki wstawia się w kółko z minardisy, zaczepiając przy robieniu słup. ostatniej kolei. za odpowiednie pętelki minardisy (patrz ryc. 20 przedstawiającą część kołnierzyka naturalnej wielkości). Zrobisz 14 takich rozetek, trzeba je połączyć podług ryc. zeszywając kilka ścięgami



Nr 13. Okrycie dla dziewczynki od 7 do 9 lat. Pleev. (Do ryc. 20 w Bl. Nr 12).

pętelki minardisy tak, aby 12 rozetek formowały dolny brzeg kołnierza, a z pozostałe przednie brzegi. Następnie robi się u góry kołnierzyka kolej 1: 3 słup. przedzielone 1 pow. ocz., 2 razy naprzemian: 3 ocz. pow. i 3 ścis. ocz. przedzielone 1 pow. ocz., 9 pow. ocz., * 3 słup.



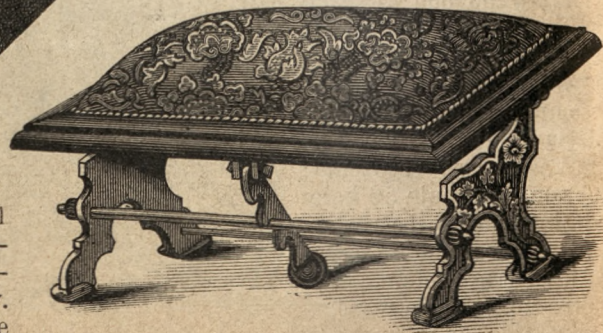
Nr 14. Koszyzek do roboty aplikacja i szydełkową robotą. (Do ryc. 1 w Bl. Nr 12).

więc prawą stronę kołnierzyka) następane, lecz już po drugiej

Nr 7. Szlak

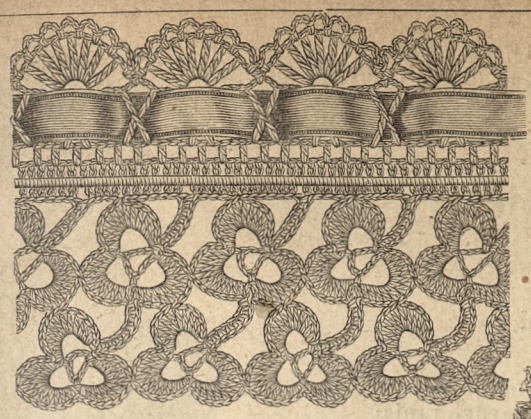
przedzielone 1 pow. ocz. potem 2 razy naprzemian: 3 pow. ocz. i 3 ocz. ściśle

do ryc. 6.



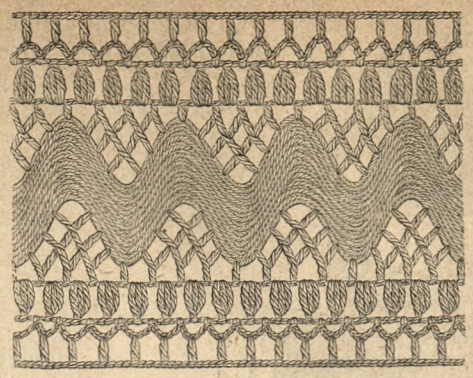
Nr 15. Stołeczek pod nogi haftowany

przedzielone 1 pow. ocz., 7 o. pow. na listek podwójny, 1 słup. poczwórny, jednakże przeciągnąć nitkę tylko przez 2 dolne pętliki tego słup., potem 2 podw. słupki ściągnięte w jedno ocz. razem z 1 pętelką poczwór. słup., 3 słup. podw. ściągnięte w jedno ocz., potem dokończyć wierzchnią połowę poczwór. słup.,



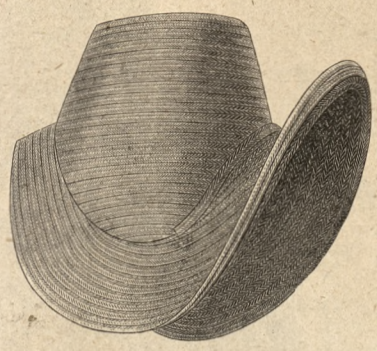
Nr 16. Część karczka do r. 27 w Blu. Nr 12.

niec 5 ocz. pow. i 1 ścis. oczko w ostatni słup. 2 kolei. Kolej 10 jak 2. zaczyna się jednakże od 1 ocz. 1 kolei i kończy się na ostatnim oczku tejże. Kolej 11: * 1 krzyżyk (na krzyżyk robi się 1 słup., 5 razy nawijając nitkę na szydelko, z których przerabia się tylko 2 dolne pętliki, potem jeden słu. podw. w trze-



Nr 17. Wstawka robotą szydełkową.

cie ocz., przerabiając ostatnią jego pętelkę razem ze środkową pętelką dużego słup. którego górną część teraz należy dokończyć, 3 ocz. pow., 1 podw. słup. w srodek dużego słup.). 3 pow. ocz., 4 ocz. poprzedniej kolei opuścić, od * powtórzyć, przy każdym drugim powtórzeniu zamiast

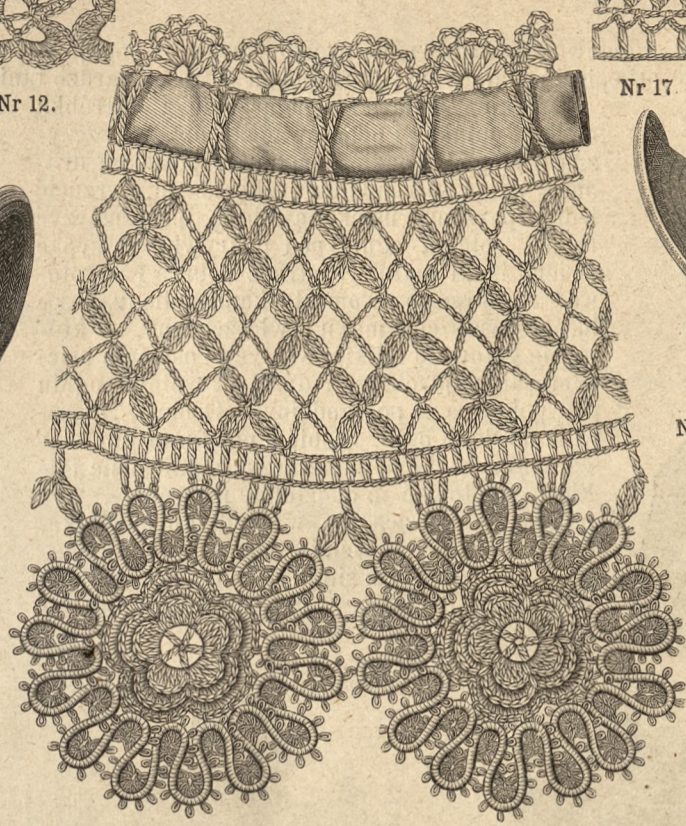


Nr 18. Kapelusz letni niebrany.

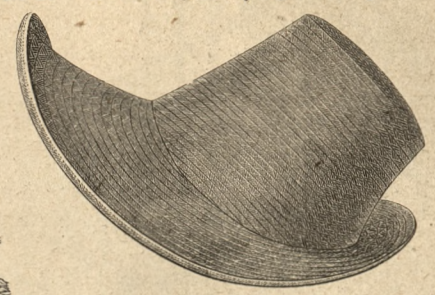


Nr 21. Sukienka dla panienki od 13 do 15 lat. Przód. (Do ryc. 18 w Bl. Nr 12).

7 pow. ocz. od * 10 razy powtórzyć. Kolej 2: 1 słup. w środkowej 9 ocz. pow. poprzedniej kolei, 1 pow. o., potem ciągle naprzemian: 1 słup. w co drugie ocz. i 1 pow. o. jednak w rogach nie robić wcale pow. oczek i nawet 5 słup. ściągnąć w 1 ocz. Kolej 3: Zaczyna się w rogu



Nr 20. Część kołnierzyka r. 11 robotą szydełkową. Wielkość natur.



Nr 19. Kapelusz letni nieupięty.

3 pow. ocz. pomiędzy krzyżującymi się słup., robić 1 pow. ocz. Kolej 12: * 6 słup. przedzielonych 1 pow. ocz. o 3 o. przedzielające krzyżyk, 1 pow. ocz., 1 o. ścis. o 3 ocz. przedzielające następnym krzyżyk, 1 o. pow., od * powtarzać. Kolej 13: * 5 razy naprzemian: 1 ścis. ocz., 3 pow. ocz., potem 1 ścis. o.,



Nr 22. Sukienka dla panienki od 10 do 12 lat. Plecy. (Do ryc. 19 w Blu. Nr 12).

od * powtarzać, robiąc to przy każdym powtórzeniu 6 razy zamiast 5. Przez duże dziurki kolei 11 przewleka się wstążka i wiązuje z przodu na kokardę.

kołnierzyka 1 ocz. ścis., * 2 listki (na kaźden listek robi się 5 ocz. pow. i 2 podw. słupki ściągnięte w jedno ocz. razem z 1 ocz. z 5 pow. ocz.) najbliższe 7 ocz. opuścić. 1 o. ścis. w następne o., 9 pow. ocz., 7 ocz. opuścić, 1 ścis. ocz. potem od * powtarzać, aż do rogu kołnierzyka. Kolej 4: 1 ścisłe ocz. w 5 słup. 2 kolei, w którą także zrobione pierwsze ocz. ścisłe poprzedniej kolei, * 1 listek. 1 ścis. ocz. pomiędzy 2 listkami poprzedniej kolei. 1 listek 4 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkowej z 9 ocz. pow., 4 pow. o. od * powtórzyć. Kolej 5: 1 ścis. ocz., potem robić jak kolej 3, jednakże tak, aby listki kolei znajdowały się nie naprzeciw poprzedniej. Kolej 6 do 8 ciągle naprzemian jak 4 i 5 kolej. Kolej 9: 1 ścis. ocz. w pierwszy słup. 2 kolei, * 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 2 najbliższe listki poprzedniej kolei, 5 pow. ocz., 1 ścis. o. w 1 z 5 ocz. następnego listka; od * powtórzyć; nako-



Nr 23. Paltocik sukieny. Opis odwr. str. tab.

Nr 24. Kostium z gładkiego i w deseń wełnianego materiału. Opis odwr. str. tabl.

Nr 25. Paltocik z angielskiego wełnianego materiału. Opis pierw. str. tabl.

Stoleczek pod nogi haftowany.

Rycina Nr 15

Podstawa tego stołeczka zrobiona jest z lanego żelaza, z przodu niższa, a z tyłu wyższa; drewniany blacik zaopatrzony w podporę służącą do ustawienia stołeczka horyzontalnie lub pochyło. Haft zrobiony ścięciem płaskim, gałzkowym i pocztowym różnokolorową włóczką.

Wszystka robotą szydełkową.

Rycina Nr 17.

Wszystka ta zrobiona jest z fabrycznej tasiemeczki i bawełny Nr 60. Kolej 1: * 1 słup. na końcu ząbka tasiemeczki, 3 pow. o. 3 podw. słup. w odstępach widocznych na rycinie, przera-

dwa tegoroczne letnie kapelusze z bastowej plecionki. Pierwszy z plecionki koloru rezedowego w dwóch cieniach, a drugi brązowego i jednego z modnych jasnych kolorów.

Przepisy gospodarskie.

Siekanka cieleca z kluseczkami.

Ponieważ dochodzą mnie często skargi, iż podaje za kosztowne przepisy, podaję więc tu przepis na potrawę bardzo tanią:

Lekkie, będące w połączeniu z wątróbką cieleca, opłukać i odgotować ze solą, włoszczyzną w ciepłej wodzie, następnie posiekać drobno, wziąć w rondelkę łyżkę masła, wrzucić jedną sparzoną, usiekaną cebulę, przesmarzyć to na wolnym ogniu pod pokrywką, wsypać ćwierć łyżki mąki, rozetrzeć dobrze i zagotować, rozebrać to dwoma łyżkami bulionu, rosółu, lub wreszcie smaku z włoszczyzny, w której się gotowało lekkie, włożyć to ostatnie usiekane jak najdrobniej i dusić na wolnym ogniu pod pokrywką z pół godziny. Osobno, stosownie do ilości osób, zrobić z pół-funta lub więcej mąki, siekane zaciereczki zagniecione jajkiem, ugotować je oddzielnie na wodzie, wymieszać z duszącą się w rondelku siekanką, dołożyć dla podniesienia smaku, łyżkę młodego masła, z którym się już żadna potrawa gotować nie powinna, wsypać trochę pieprzu i podać na stół.



Nr 26. Okrycie naszyte wełnianą plecionką. Opis odwr. str. tabl.

biając tylko dolne pętelki słup., potem podobnie 3 słup. z drugiej strony wgłębienia zęba i zrobić je razem z pierwszymi 3 ścięciem tunezańskim, dalej 3 ocz. pow., 2 słup. podw. w środek drugiego z 3 poprzednio zrobionych, nie przerabiając jednakże górnej jej połowy, potem 1 sł. w poprzednio zrobiony słup., 3 pow. ocz., 1 sł. podw. w ostatni zrobiony słup., przerabiając tylko dolną jego pentelkę, potem 1 słup. w tasieczkę, 3 pow. ocz., od * powtarzać. Kolej 2 ciągle naprzemian: 3 podw. sł. ściągnięte w jedno ocz. i 3 pow. ocz. Kolej 3: 1 scis. ocz. o 3 ocz. pow. poprzedniej kolei i 5 pow. o. Kolej 4 ciągle na przemian: 1 słup. w środkowe z 5 pow. o. i 3 pow. ocz. Z drugiej strony tasieczki robi się także 4 koleje.

Letnie słomkowe kapelusze.

Rycina Nr 18 i 19.

Obie ryciny przedstawiają

Nr 28. Suknia z wełnianego materiału gładkiego i w desen. Opis odwr. str. tabl.

Nr 29. Okrycie z deseniowego wełnianego materiału. Opis odwr. str. tabl.

Nr 30. Sukienka dla dziewczynki od 7 do 9 lat. Opis odwr. str. tabl.



Nr 27. Suknia z atlasu i koronki. Plecy. (Do ryc. 24 w B. Nr 12).



Legumina z kaszki i migdałów.

Kubek drobnej kaszki ugotowanej na gęsto i kubek migdałów słodkich, pomiędzy którymi może być gorzkich kilka, uwiercić z kubkiem mialkiego cukru i 8 żółtkami i skórką cytrynową, startą z pół cytryny. Ubić białka z tych 8 jaj na pianę, zmieszać i włożyć w formę wysmarowaną masłem, i wysypaną bułką. Można ją upiec w piecu, lub gotować na parze godzinę, jak budyn.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa „à la reine“, czyli „purée“ z drobiu.
2. Paszteciki w koszyczkach z kruchego ciasta.
3. Poledwica z garniturem.
4. Ryż z bitą kwaśną smietaną.